

Autor nieznan

1 WRZEŚNIA 1944 R.

Jeszcze się palą zgliszczą serc po tamtym wrześniu
I tamta broń, na placach, nie ostygła z cierpień -
a już nową spluskany krwią, ogniem i pieśnią,
jak głośna salwa w pustce, przekłócił się sierpień.
Znowu oczy ku niebu wysyłam na połów,
by dobrą wieść wypatrzyć poprzez wrogi łańcuch
by skrzydła halifaksów, jak skrzydła aniołów,
przyniosły pokój ludziom trwającym na szaniecach.

- Bracie daleki! Obróć oczy w naszą stronę.
Świt na świecie. Tu noc jest. Tu ciemno od dymów
i jak pochodnia w pustce moje miasto, płonie,
dobrze widziane z Moskwy, z New Yorku, z Londynu
- Brawo! - krzyczy świat. Słysząc serc dalekich łomot.
Już załamują ręce, że nam jest tak ciężko.
Tu - oczy oczom, usta ustom niosą pomoc,
dają siłę wytrwania i wiarę w zwycięstwo.

Wiersz drukowany w powstańczym piśmie "Demokrata", nr185(308) z 2 września 1944 r., podpisany inicjałami "A. P.". Tekst publikowany w antologii]. Szczawie ja Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W-wa 1974.

Andrzej Siczkowski "Chrabąszcz"

Może jesteś o parę ulic,
Parę ulic znajomej Warszawy-
A nie widzisz, jakie nas dzielą
Twarde progi i złe przeprawy.

Dymy zrzędy - spojrzysz, Jedyna
– Gdzież są gmachy znajome i domy?
Same w koło wydmy palenisk,
Rumowiska i szpetne wyłomy.

Parę ulic, dni coś trzydzieści -
A tak bardzo daleko od tej daty,
Kiedy pierwszy z ciszę rozbiły
Pistolety i ręczne granaty.

Parę ulic, dni coś trzydzieści -
Cóż za wyrwa czasu i przestrzeni!
- Ale przecież sprzęgniemy to wszystko
Mocnym znowu uściskiem spleceni.

Warszawa,30.VIII.44.

Wiersz napisany podczas Powstania na Starówce przez żołnierza zgrupowania "Gozdawy", dedykowany żonie. Andrzej Siczkowski "Chrabąszcz" (1913). Sławię i tłumacz. Podczas Powstania walczył na Starym Mieście w rejonie ulic Miodowej i Senatorskiej, a następnie w Śródmieściu w rejonie Chmielnej.

Seweryn Pollak "Andrzej Poleski"

MOKOTÓW

Nad zwałoną dzwonnica
polata wolny gołąb
i ginie w kłębach dymu -
mokotowska dzielnica
pod słońcem schyla czoło
w olśnieniu, blasku ginąc.

A przed domem, na placu,
skrwawione materace
schną w świetle zbyt jaskrawym,
a na niebie błękitnym
klomby pocisków kwitną,
zdobiąc w kwiaty Warszawę.

Zieleń, kwiaty, stygmaty,
biało-krasne opaski,
bohaterstwo bez granic-
tak już było przed laty,
prosto z mostu, bez maski
rzucić życie na szaniec.

Aby potem ... Cóż potem?
Krwawych ruin oplotem
umocniony Mokotów,
zwarty wołą, ponury,
pięść unosi pod chmury:
"Bądź gotów!"

Wiersz drukowany w powstańczym piśmie "Robotnik Mokotowski", nr 6 z 24 września 1944 r., opatrzony podpisem "Andrzej Poleski".

Tekst publikowany w antologii]. Szczawieja Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W-wa 1974.

Seweryn Pollak (1907-1987). W czasie okupacji uczestniczył w podziemnym życiu kulturalnym Warszawy.

Podczas Powstania w szeregach P AL na Mokotowie. Po wojnie zajął się głównie działalnością dziennikarską i twórczością przekładową.

Józef Marcinkowski "por. Józef"

BĄDŹ DOBREJ MYŚLI

Bądź dobrej myśli, jeśli Boża wola
Umrzeć kazała, umrzem od kul z pola,
Legniemy sobie gdzieś we wspólnym grobie,
Ty zaśniesz przy mnie, ja zaś znów przy tobie...

I znowu razem, jak za dawnych czasów,
Słuchać będziemy starej pieśni lasów
I wieści nowych, co wiatr je przyniesie
Do mogił naszych na smutne Polesie ...

Dobrze nam będzie śnić w sosnowym borze
O pierwszych fiołkach kwitnących w ugorze.
I dobrze będzie, gdy promień radosny
Przyjdzie zwiastować powrót nowej wiosny ...

Dobrze nam będzie, gdy bór zaszeleści
Liśćmi swoimi w cichej opowieści,
A dziewczę z dwora w swej kornej modlitwie
Westchnie do Boga za poległych w bitwie ...

Bądź dobrej myśli. Jeśli Boża wola
Umrzeć kazała - umrzem od kul z pola ...
Legniemy sobie gdzieś we wspólnym grobie,
Ty zaśniesz przy mnie, ja zaś znów przy tobie.

Wiersz drukowany w powstańczym piśmie "Baszta", nr 10 z 29 sierpnia 1944r.. gdzie był opatrzony podpisem" por. Józef". Autorem wiersza jest Józef Marcinkowski z dywizjonu Jeleń. Tekst publikowany w antologii J. Szczawie ja Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W-wa 1974 jako utwór anonimowy.

Stefan Leszno "Orzeł"

DO BRONI!!!

Nam nie trzeba już słów! Nas śmierć za blisko już goni...
Nie chrońmy tak naszych głów,

Do broni! Do broni! Nam nie potrzeba już słów!

Nam trzeba tylko granatów!

Kul, karabinów i koni

I głów naszych katów!

Do broni!

Bracia! Ręka do ręki!

To krwawy woła nas zew.

Tchórz tylko od nas dziś stroni!

Krew za krew!

Do broni!

Nam nie trzeba już słów!

Ręką za gardziel chwyć

Bagnetem w brzuch!

Nam już dosyć czekania

Dzwon na zemstę już dzwoni...

Dosyć już tego cackania.

Do broni! Do broni!

I chcemy by złota trąbka

taką pobudkę nam grała:

Raz dwa ... Raz dwa ...

Z lewej śmierć

Z prawej śmierć

Z tyłu hańba

Z przodu CHWAŁA!

Raz dwa ... Raz dwa ...

Wiersz drukowany w powstańczym piśmie "Baszta", nr 3 z 15 sierpnia, gdzie był podpisany "Orzeł", pod tym pseudonimem ukrywał się Stefan Leszno (informacja L. M. Bartelskiego).

Lesław M. Bartelski

PATROL MIĘDZY MURAMI

Ledwie o dłoń, lecz jak daleko,
gdy nocą iść na wypad.
Z tyłu za nami ognia rzeka
i nocy słup jak niewypał.

Granat w ręku chłodzi jak ziemia,
bolą oczy wpatrzone w wroga -
gwiazdy jak srebrzyste strzemiona
na rudo barwi ogień.

Tylko naprzód, drogi z powrotem nie ma,
czy to w dzień, czy to nocną porą,
zanim nie zamknie nas ziemia
ostra jak piorun.

Tak o twe imię, o Nike, wsparci
jak o matczyną pierś
idziemy spokojnie w zamieć
i naszą żołnierską śmierć.

1 sierpnia 1944 r. Mokotów

*Wiersz z Powstania, drukowany po wojnie w tygodniku "Nowiny Literackie" (Warszawa) 1948,
nr 31(72) z 1 sierpnia.*

*Tekst przytoczony z antologii J. Szczawieja Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W-wa 1974. Lesław
Mieczysław Bartelski (ur. 1920). Debiutował jako poeta w 1944 r. Podczas okupacji związany z grupą skupioną
wokół czasopisma "Sztuka i Naród". Żołnierz AK. W czasie Powstania na Mokotowie. Po wojnie zajmował się
popularyzacji i dokumentacji życia kulturalnego okupacyjnej stolicy (Genealogia ocalonych) oraz dziejami walk
powstańczych ze szczególnym uwzględnieniem Mokotowa (Mokotów 1944, Baszta).*

Janusz Sas

POWRÓT MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ

Na sierpniowe święto Maryi

Czekaliśmy na Ciebie, Ty dostojna Pani
W koronie Królowo Polski zamknięta.
Dziś wróc do ram złotych, jak my co zesłani
Wracamy w męce do Wolności święta.

Płaszce się dziś jarzy łez i krwi purpurą.
Z barykad walki niosąc śmierć powiewu.
Polska cię odzyska pod warszawską chmurą
Dymu pełna żaru i wolności śpiewu.

Idące dni szau płyną chwałą Twojej dumy.
A wiara w Ciebie, siły w nas nadludzkie wpoila!
Z Tobą Polska idzie ... Z stali strzałów struny
Dźwięk się leje Mocy - którąś narodziła!

Od Częstochowy murów historii dnie znaczone.
Upadków i wzlotów płyną symfoniczne grania,
Przechodzą cienie, czoła krwią zroszone
Umarłe niemoce i dnie walk Powstania.

A w mgłach pyłu szumie, w łunach poświacie
W strzelistych gejzerach pożaru,
Kuźnia Polski - gorzeje - rzekłaś: Ją utworzyć macie
I my już wpływamy w Jej wody bezmiaru ...

Jutro jak Nadzieja - poranek jest ciszą-
Pragniemy utulić bolejące dziś serca.
Pragniemy i Tobie serdeczna Maryjo
Przed ołtarzem usłać złotą toń kobierca.

Jutro jest nasze, - w wizji jego stoisz
Opromieniona natchnieniem żołnierskiej piosenki.
Klasztor Ci drugi na męce zbudujemy:
Z łez dzieci Warszawy dla świętej Panienki".

Czekaliśmy na Ciebie i dziś przyszłaś z rana
Aniołom śmierci wzywając do mistrza. -
W godzinę śmierci, - o Niepokalana
Módl się za nami Matko Najczystsza ...

Wiersz napisany w czasie Powstania. Opublikowany w tomiku poetyckim Powstanie Warszawskie, Rzym 1946 r.

Józefa Radzymińska "Mieczysława"

OJCZYŻNA

Dotykam ciebie
drżącymi rękami
Polsko, wyrosła
z ciężkiego Podziemia.
Jesteś wciąż ze mną.
Na swe zmartwychwstanie
wybrałaś miasto moje
i płonący Sierpień ...
Jesteś wciąż ze mną
żywa i tak jasna,
że oczy mrużąc
pod suchy trzask kuli,
trwam w Twojej bliskości
i żyję w Twym blasku,
który zwycięży
i oddali ból.

Tobie dziś płoną
bitewne pożary
i ranni krwią przelaną
dzisiaj Tobie się modlą -
Ziemię, znaczoną
stygiem ofiary-
Ojczyżno, własna
jak ostatni oddech ...

Utwór napisany podczas Powstania Warszawskiego. Odczytywany przez autorkę w czasie koncertów w powstańczej Warszawie. Tekst przytoczony za artykułem wspomnieniowym autorki opublikowanym w tomie Milion walecznych, red. L. Moczulski, L. Wysznacki, W-wa 1971. Józefa Radzymińska (ur. 1921). W okresie okupacji zaangażowana w podziemiu kulturalnym i wojskowym. Związana z miesięcznikiem "Dźwigary", więziona na Pawiaku. Podczas Powstania w szeregach AK w Śródmieściu. Brała udział w koncertach dla wojska, w czasie których czytała swoje wiersze. Poezja jej była też wykorzystywana w audycjach patroli megafonowych.

Autor nieznany

POWSTAŃCOWI

Gdzieś ty jedyny, najdroższy na ziemi?
Warszawa w ognia królewskiej purpurze-
Czy walczysz w sino-niebieskim mundurze
W kaskadzie blasków i syku płomieni?

Czy w brawurowym zdobywasz ataku
Domy, ulice, zaułki, koszary
Czy ty żołnierzu bezimienny, karny
Hańbę niewoli z polskiej duszy zrywasz?

Może za rogiem spalonego domu
Stoisz na czacie spokojny, stalowy
Oczami szukasz helmu wrogiej głowy
I nagle rzucasz granat - na kształt gromu?

Może twa ręka wytrzymała i pewna
Trzyma karabin, rewolwer, pistolet
I tylko oczy świecą w bladym czole
A cała postać jak ciosana z drzewa?

Czeka na rozkaz - na jedyne słowo
By z ust dowódcy najprędzej odgadnąć
I targnąć ręką i piorunem władnąć
I znowu czekać na rozkaz - na nowo?

A może leżysz bohaterze szary
Ranny, strudzony na noszach wojskowych
Nie mogąc unieść głowy poranionej
Dokoła widzisz tysiączne pożary?

I krwawisz więcej w okropnej niemocy
Żeś tak bezwładny - gdy twoi żołnierze
Do boju idą - chociaż bohaterze
W walce nie znałeś ni dnia ni nocy.

Choć bez wytchnienia w podartym mundurze
Co ma swą własną skrwawioną historię
I glorię sławy, jasną, złotą glorię
Walczyłeś w deszczu, spiekocie, wichurze.

Choć obszarpany głodny i spragniony
Widziałeś błękit i słońce wolności
I kładłeś życie na szalę – w radości
Że sen twej duszy zostanie spełniony -

Może - odwróćmy historii twojej karty-
Leżysz pod ziemią w drewnianej trumience
Z tak zaciśniętym rewolwerem w ręce
W nim sens śmierci twojej jest zawarty.

I krzyż bieleje nad tobą okienny
Na krzyżu beret czarny z Orłem Białym
I każdy człowiek wydaje się małym
Wobec twojej chwały - jasnej i promiennej!

*(Wiersz ze zbiorów Ryszarda Linsemmana, żołnierza Szarych Szeregów ps. „„, "Rysiek".
Wg relacji ofiarodawcy tekst ten był zamieszczony w jednej z gazet powstańczych.
Czasopismo to zostało skonfiskowane przez UB w czasie rewizji pod koniec lat
czterdziestych.)*

Józef Szczawiński

SIERPIEŃ 44

Granatem otwórz wolność!
Na rozcież drzwi barykad.
Kolego podchorąży -
egzamin dziś, nie wykład.

Salwa jak w oczy piasek,
Ścichły kształt na asfalcie.
Czerwienią łun i opasek
wzeszedł sierpień: czterdziesty czwarty.

Nienawiść zgrzytem krowy
i cekaemy jak brawa.
Ogień dział kolejowych,
Kanały, my i Warszawa.

Na białej sierpnia kanwie
Dni krzyżykami czerwone,
Spadochroniki tak barwne,
Sto osób w domu zwalonym.

Granatem otwórz wolność ...
Na chodnikowej płycie,
Kolego podchorąży -
dzisiaj zamknąłeś życie.

Październik 1944

*Wiersz napisany tuż po Powstaniu przez jednego z jego uczestników. Tekst zamieszczony
w antologii J. Szczawieja Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W- wa 1974*

Józef Pieprzyk

WARSZAWSKY POWSTAŃCY W NIEBIE

Ktoś do bramy niebieskiej mocno pięścią tłucze
przeżony Piotr Święty leci z pękiem kluczy.
Drzwi cośkolwiek uchyla, zerka okiem na dół
a tu stoją przy bramie żołnierze gromadą.
- Czego chcecie - zły pyta - i skąd wy urwańce
-Wpuść nas, Piotrze! Jesteśmy warszawscy powstańcy.
Byliśmy nawet w piekle, aby ogrzać ręce.
Nie wpuścili nas Piotrze, bo tam pełno Niemców.
W czyścisku także byliśmy, gromadnie przed chwilą,
lecz Anglicy nie chcieli tam dać nam azylu.
Po Chmurach chodziliśmy, po mrozie i wietrze
zmarznięci i zmęczeni ...Wpuść nas Święty Piotrze!
Wpuścił zbrojną kompanię. Po gwiaździstym bruku
maszeruje, aż niebo budzi się od huków.
Święci patrzą, Sam Pan Bóg izdebkę odmyka
przygląda się, patrzy i fajeczkę pyka ...
... a szereg za szeregiem ... - same miny dziarskie -
robociarze, harcerze - to dzieci warszawskie ...
A na piersi każdego rozdanej i nagiej
jak szarfa honorowa - skrawek polskiej flagi.
I niebo zapłakało gwiazdy roniąc blade
i Bogu łza upadła przy tej defiladzie.
A wieczorem - w dalekie miasto spopielone
zapatrzone posmutniał.....

Tekst przekazany Muzeum Powstania Warszawskiego jako wiersz napisany podczas Powstania Warszawskiego.

Autor nieznany

TAK DZIŚ CHODZI SIĘ WARSZAWĄ

Raz na lewo, raz na prawo,
Trochę naprzód, trochę w tył,
Tą dziureczką proszę śmiało,
Czołem w rurę - guz już był,
Teraz drugi, jutro trzeci,
I tak czas nam szybko zleci.
Po piwnicach, barykadach,
Na czworakach i przysiadach,
Raz na lewo, raz na prawo -
Tak dziś chodzi się Warszawą.

Głową wypad, nogi w górze,
Torba płacze się przy rurze,
Z mroku OPL wypada:
"Czy przepustkę pan posiada?"
"To przepustka? Gdzie kennkarta?"
"Ta przepustka nic nie warta!"
"Panie, nie pchaj! Moja noga!"
"Odejść z drogi, tu załoga,
Wojsko idzie." "Boże miły,
Moje kartki się zgubiły!"
"Marszałkowska? Nie, tu Krucza."
"Niech mi pan już nie dokucza,
Trzy dni idę." "Skąd?" "Z Ochoty,
Mam tu ciotkę, panie złoty ... "
"Idź pan prosto, już podwórko."
"Kiedy zaraz idę dziurką
Tu na prawo." „Ja - na lewo.
Nogi w górę -leży drzewo!"

"Padnij, stój, przepustka, hasło."
"Kucnij, wstań, coś z bliska trzasło!"
Raz na lewo, raz na prawo:
Tak dziś chodzi się Warszawą!

*Tekst drukowany w powstańczym piśmie "Barykada Powiśla", nr 26 z 2 września 1944r.
Autorstwo nie zostało dotychczas ustalone. Tekst publikowany w antologii J. Szczawieja,
Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W-wa 1974.*

Zbigniew „Jasiński „Rudy”

"ŻĄDAMY AMUNICJI"

Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier,
Tu u nas nikt nie płacze w Walczącej Warszawie.
Tu się Prusakom siada na karku okrakiem
I wrogów gołą garścią za gardło się dławi.

A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej,
Że w dymie pożarów niszczy Warszawa,
A my tu nagą piersią na strzały armatnie,
Na podziw wasz, na śpiewy i na wasze brawa.

Czemu żałobny chorał śpiewacie wciąż w Londynie,
Gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto!
U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta
I małe dzieci walczą, i krew radośnie płynie.

Halo! Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa!
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!
Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla was!
Oklasków też nie trzeba! Żądamy amunicji!

Najpopularniejszy wiersz Powstania, powstał w sierpniu 1944 r. 24 sierpnia 1944 r. został nadany na falach radiostacji "Błyskawica", Drukowany w czasopiśmie "Baszta", nr 12 z 5 września 1944 r. Podpisany ; Zbigniew Rudy".

Po wojnie wielokrotnie publikowany w prasie, często w wersjach bardzo rozszerzonych i przeinaczonych. Tekst na podstawie opracowania Zbigniew Jasiński, Krwią i czynem, Melbourne 1989 r. Zbigniew Jasiński "Rudy" (1908-1984). W okresie międzywojennym dziennikarz i znany poeta-marynista. Po udziale w Kampanii Wrześniowej 1939 r., wzięty do niewoli rosyjskiej znalazł się w łagrze Tietkino pod Kurskiem.

Przetransportowany w ramach wymiany jeńców do Lublina, po ucieczce z niewoli w 1940 r. włączył się do walki w szeregach AK. W 1943 r. był z misją kurierską w Jugosławii. W czasie Powstania w początkach sierpnia rozpoczął pracę w radiostacji AK "Błyskawica". Napisał kilka wierszy, które czytał na radiowej antenie. Poeta Mieczysław Ubysz poświęcił mu wiersz pt. PKO. Wiersze Jasińskiego na tle powstańczej poezji wyróżniają się profesjonalizmem i olbrzymią żarliwością i siłą ładunku emocjonalnego.

Krzysztof Kamil Baczyński

WARSZAWA

Bryła ciemna, gdzie dymy bure,
poczerniałe twarze pokoleń,
nie dotknięte miłości chmury,
przeorane cierpienia role.

Miasto groźne jak obryw trumny.
Czasem głuchym jak burz maczugą
zawalone w przepaść i dumne
jak lew czarny, co kona długo.

Wparło łapy ludzkich rojowisk
w głuchych ulic rowy wygasłe,
warcząc czeka i węszy groby
w nocach krwawych i gromach jasnych.

Jeszcze przez nie najeźdźców lawa
jako dym się duszny powlecze,
zetnie głowy, posieje trawy
na miłości, krzywdzie człowieczej.

Jeszcze z wieku w wiek tak się spieni
krew z ciemnością, a ciemność z brukiem,
że odrośnie jak grom od ziemi
i rozewrze niebiosą z hukiem.

Bryła ciemna, miasto pożarne,
jak lew stary, co kona długo,
posąg rozwiany w dymy czarne,
roztraskany czasów maczugą.

I znów ująć dłuto i rydel,
ciąć w przestrzeni i w ziemi szukać,
wznosić wieki i pnące żywe
na pilastrach, formach i łukach.

I w sztandary dąć, i bić w kamień,
aż się lew spod dłoni wykuje,
aż wykrzesze znużone ramię
taki gład, co jak serce czuje.

10 II 43r.

Krzysztof Kamil Baczyński

JESIEŃ 41 R.

*A kiedy okręt walczył - siedziałem na maszcie.
kiedy tonął - z okrętem poszedłem pod wodę
Słowacki: "Testament mój"*

Gdy ciało się dopali, pozostaną oczy -
gwoździe na wieku z hebanowych chmur.
Wyjdzie dzwonnik - zmarszczony jak jesienna ziemia,
długie nogi wisielców pociągnie jak sznur.

I grom się stoczy z nieba jak jabłko, a deszcz
jak stado kruków będzie rzekę szarpał,
pęknie drzewo zielone - moja smutna harfa.
jak pies zawyje za mną wierna pieśń.

Wtedy weźcie pomniki i rzućcie jak kamień
czasów martwych w dno nieba, w czarny marmur rzek
i przymarzłe do pracy utnijcie mi ramię
jak gałąź, aż wytryśnie z niej zieleń i krew.

Żeśmy w objęciach trupów spali, to już znacie
śmierci profil zastygły i ostry jak nóż.
Żeśmy po schodach szli z czarnych ciał braci,
to weźcie szmatę ciała i rzućcie razem - w gruz.

A oczy mi wydrzyjcie i potoczcie dalej
jak ołowiane kule - podpalcie nimi wiatr,
by w czaszki nagie gwizdał - i niech tak się pali,
aż serca wam spopieli - i wyjmie z nich świat.

październik 1941

Krzysztof Kamil Baczyński

BALLADA ZIMOWA

Chmura z miedzi uderza
blaskiem bije w puklerzach,
jeśli puklerz — to oczy z ołowiu.

W lasach siwych od błysków
jak znużenia kołyską
wracał rycerz z puszystych łowów.

A od śniegu — wraz z koniem —
był jak chmura jabłoni
huraganem niesiona przez zamieć.

I tak w pędzie zastygli,
że na mróz jak na igłę
wbici — z wolna zmieniali się w kamień.

Wtedy knieje srebrzyste
promień przeciął ze świstem,
droga przeszła w niebieską równinę.

Złote chleby i ręce
jak w dzieciństwa piosence
niosła matka na witanie z synem.

Złote kosy i oczy,
co jak senność złej nocy
na gościniec wyniosła dziewczyna.

Ale on jak po ścieżce
w pół po drodze, pół w wietrze —
— biały posąg — przetętnił i zginął.

Aż jak głaz w biegu — wisiał
i ptak szary mu przysiadł
na przegubie lodowatej ręki

i pradawnych snów trzepot
w sercu zatlił mu ślepo —
szary płomyk samotnej piosenki.

W pył rozsypał się szklany
rycerz. Buchnął tumanem.
W popiół zmienił się z koniem i cieniem,

tylko niebo szerniało
dalej w grozie sypało
gwiazdom — ciemność, a ludziom — kamienie.

listopad 1941

Krzysztof Kamil Baczyński

TEN CZAS

Miła moja, kochana. Taki to mroczny czas.
Ciemna noc, tak już dawno ciemna noc, a bez gwiazd,
po której drzew upiory wydarte ziemi — drżą.
Smutne nieba nad nami jak krzyż złamanych rąk.
Głowy dudnią po ziemi, noce schodzą do dnia,
dni do nocy odchodzą, nie łodzie — trumny rodzą,
w świat grobami odchodzą, odchodzi czas we snach.

A serca — tak ich mało, a usta — tyle ich
My sami — tacy mali, krok jeszcze — przejdziem w mit.
My sami — takie chmurki u skrzyżowania dróg,
gdzie armaty stuleci i krzyż, a na nim Bóg.
Te sznury, czy z szubienic? długie, na końcu dzwon —
to chyba dzwon przestrzeni. I taka słabość rąk.
I ulatuje — słyszę — ta moc jak piasek w szkle
zegarów starodawnych. Budzimy się we śnie
bez głosu i bez mocy i słychać, dudni sznur
okutych maszyn burzy. Niebo krwawe, do róży
podobne — leży na nas jak pokolenia gór.
I płynie mrok. Jest cisza. Łamanych czaszek trzask;
i wiatr zahuczy czasem, i wiek przywali głazem.
Nie stanie naszych serc. Taki to mroczny czas.

10 września 1942 r

Krzysztof Kamil Baczyński

DWIE MIŁOŚCI

Więc pokochałeś kruche, ciepłe ciało,
które się w formach słowicznych ustało,
jak mleko płynie w szklanym smukłym dzbanie,
skrzypiec ma smutek i roślin śpiewanie.
Więc pokochałeś je. Jak ruczaj sobie
przed oczy stawiasz, aby twarze obie:
i ta odbita, i twoja prawdziwa,
były jak jeden ruch, co poukrywa
ziemię jak pożar i niebo jak jaśmin,
na które jedno serce jest małe i ciasne.

I pokochałeś jeszcze ziemię grozy
z ognistym śladem wielkich kroków bożych,
ziemię, gdzie bracia popieleją z tobą,
gdzie śmierć i wielkość jak dwa gromy obok
stoją u skroni i skrzydłami biją
tym, co umarli, i tym, którzy żyją.
Więc pokochałeś jej rzek bicz srebrzysty
i białe pióra mazowieckiej Wisły,
i góry ciężkie jak chmury na ziemi,
i ludzi skutych - i tak żyjesz niemi.

I kiedy z szablą rozpaloną stoisz
u huraganów ostatniego boju,
i kiedy broń jak życie w dłoni ważysz,
a nie masz łzy na sercu i na twarzy,

gdy rzucasz ciało jak puchy świetliste,
wiotkie jak śpiew, a z nim odbicie czyste,
by mieć twarz jedną nie odbitą w ciszy,
napiętnowaną śmierci czarnym krzyżem,
myślisz, że z Boga musi być ta miłość,
dla której młodość w grobie się prześniło.

22 V 43r.

Krzysztof Kamil Baczyński

SPOJRZENIE

Nic nie powróci. Oto czasy
już zapomniane; tylko w lustrach
zasiada się ciemność w moje własne
odbicia - jakże zła i pusta.

O znam, na pamięć znam i nie chcę
powtórzyć, naprzód znać nie mogę
moich postaci. Tak umieram
z półobjawionym w ustach Bogiem.

I teraz znów siedzimy kołem,
i planet dudni deszcz - o mury,
i ciężki wzrok jak sznur nad stołem,
i stoją ciszy chmury.

I jeden z nas - to jestem ja,
którym pokochał. Świat mi rozkwitł
jak wielki obłok, ogień w snach
i tak jak drzewo jestem prosty.

A drugi z nas - to jestem ja,
którym nienawiść drżącą począł,
i nóż mi błyska, to nie łaża,
z drętwych jak woda oczu.

A trzeci z nas - to jestem ja
odbity w wyplakanych łzach,
i ból mój jest jak wielka ciemność.

I czwarty ten, którego znam,
który nauczę znów pokory
te moje czasy nadaremne
i serce moje bardzo chore
na śmierć, która się lęgnie we mnie.

18.X.43r.

Krzysztof Kamil Baczyński

NIEBO ŻŁOTE CI OTWORZE

Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nić
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior, zmierzchu graniem,
aż ukaże jądro mleczne
ptasi świt.

Ziemię twardą ci przemienię
w mleczów miękkich płynny lot,
wyprowadzę z rzeczy cienie,
które prężą się jak kot,
futrem iskrząc zwiną wszystko
w barwy burz, w serduszka listków,
w deszczów siwy splot.

I powietrza drżące strugi
jak z anielskiej strzechy dym
zmienię ci w aleje długie,
w brzóz przejrzystych śpiewny płyn,
aż zagrają jak wiolonczel
żał - różowe światła pnące,

pszczelich skrzydeł hymn.

Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne - obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych
czarny pył.

15. VI. 1943 r.

Krzysztof Kamil Baczyński

RODZICOM

A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof,
i jeszcze ciało — to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
ja miałem jak święty przenosić Pana
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinie?
Po co matko taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojcze, po co — takiej winie?
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.

Myślałaś, matko: — on uniesie,
on nazwie, co boli, wytłumaczy,
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie
— mówiłaś — rozkwitaj ogniem znaczeń.

Ojcze na wojnie twardo.
Mówiłeś pragnąc, za ziemię cierpiąc:
— Nie poznasz człowieczej pogardy,
udźwigniesz sławę ciężką.

I po cóż wiara taka dziecinie,
po cóż dzieciństwo jak płomieni dom.
Zanim dwadzieścia lat minie
umrze mu życie w złoceniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna
za wysoko głowica, kiedy pień tną.
A droga jakże prosta,
gdy serce niezdarne — proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.
Miłość, matko — już nie wiem czy jest.
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.
Miłość — cóż zrodzi — nienawiść, struny łez.
Ojcze, broń dźwigam pod kurtką,
po nocach ciemno — walczę, wiary wędną.
Ojcze — jak tobie — prócz wolności może i dzieło,
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc — matko, ojcze — jeszcze ustoję
w trzaskawicach palb ja żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej — to od was mam: — śmierci się nie boję,
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.

Krzysztof Kamil Baczyński

POLEGŁYM

Nocą, gdy ciemność jest jak zwierzę czarne,
stoi cisza jak lęku drgający biały słup.
I żyła śmierci bije: na marne - drży - na marne,
a rano znów się potknę o rozkopany grób.

A dniem stół pusty stoi, zabrakło na nim rąk,
które by razem ze mną wznosiły kruchą sieć,
a uporczywe twarze i ciała wokół siedzą,
jak gdyby tu przykute miłości mroczną wiedzą,
i głos na ścianach osiadł jak szron i dzwoni; "Leć!"

I każą mi: "Zapomnij!" Więc ręce ciężkie włożyć
w ciężarny ołów gliny i pracy toczyć głaz,
więc jeszcze dzień obrócić, jak mokry piach wyłożyć,
odetchnąć jeszcze śmiercią i jeszcze, jeszcze raz.

A potem znowu noc i słuchać długo trzeba,
jak schodów trzask się wznosi, jak dławi płótno czarne,
a w szyby śniegu bicz: "Na marne - drży - na marne !"
I życie w gardle tkwi jak ostry kamień chleba,
i czuję was w ciemności bez ziemi i bez nieba.

I wtedy trzeba wierzyć, i każą mi: "Zapomnij!"
I trzeba martwą broń zamienić w krzyż i płomień...
ulice moich dróg są wszystkie w górę - strome,
i cienka struga krwi jak lont się spala - do mnie.

Żelazna miłość - tak - wybuchło, zgasło, starło,
pozostał tępy mus, co w pięści tkwi jak gwóźdź.
Zapomnieć teraz, zdrętwieć, milczeniem tak się struć,
żeby mi pisklę ognia na dłoni nie umarło.

Odeszli. Noc po nocy. Coraz to krzyk za gardło
i tylko cisza po nich i dzwoni śniegu słup,
ale się głupie ciało jak ciężki pień uparło,
choć rano - ktoś się potknie o mój dymiący grób.

6.01.1944

Krzysztof Kamil Baczyński

GDY BROŃ DYMIĄCĄ Z DŁONI WYJMĘ ...

Gdy broń dymiącą z dłoni wyjmę
i grzbiet jak pręt rozgrzany stygnie,
niech mi nie kładą gwiazd na skronie
i pomnik niech nie staje przy mnie.

Bo przecież trzeba znów pokochać.
Palce mam - każdy czarną lufą,
co zabić umie. - Teraz nimi
grać trzeba, i to grać do słuchu.

Bo przecież trzeba znów miłować.
Oczy - granaty pełne śmierci,
a tu by trzeba w ludzi spojrzeć
i tak, by Boga dojrzyć w piersi.

Bo przecież trzeba czas przemienić,
a tutaj ciemna we mnie siła,
i trzeba blaskiem kazać ziemi,
by z sercem razem jak krew biła.

Wrócę, rzemieślnik skamieniały,
pod dach rozległy jasny pogód,
do rzeźb swych - tych, co już się stały,
i tych, co stać się jeszcze mogą.

I dawne będą wzrok obracać -
niezdarne słupy pełne burzy,
i te, których nie tknęła praca
jak oddech niewidzialnej róży.

I pośród nich jakże ja stanę
z garścią, co tylko strzelać umie,
z wiarą, co śmiercią przeorana,
z sercem, co nic już nie rozumie?

Ale jeżelim spalił młodość,
jak palą kraje w wielkim hymnie,
to nie zapomni czas narodu,
a Bóg jak płomień stanie przy mnie.

I wtedy, wtedy liść mi każdy
albo mi wróbel z nieba sfrunie
i jego głos - już głosem prawdy,
i poznam głos, poczuję: umiem.

I szmer ptaszęcy mi przypomni,
że znałem miłość, i obudzi
zdrętwiałe dłonie - jak lodygi,
i pocznę kwiaty, gwiazdy, ludzi,

i ziemię w morza szum przemienię,
i drzewa w zwierząt linie miękkie,
i wtedy spadnie mi na rękę
w pieśni odrosła - wierna ziemia

9.03.1944

Krzysztof Kamil Baczyński

UDERZ

Oddycha miasto ciemne długimi wiekami,
spowiada miasto ciemne dawnych grobów żalność;
rozrąbane żelazem, utulone snami,
nie nasycone płaczem, nie spełnione chwałą.

Nie wierz, jeżeli ci się ulice pogłębią
i staną się jak otchłań, w której śmierć się przyśni,
powierz swą myśl mieniącym się nad nią gołębiom
i obłokom kwitnym jak gałęzie wiśni,
i chmurom, które zawsze te same, tam, w górze,
jak oblicze tęsknoty wykutej w marmurze.

Nie wierz nawet pragnieniom, jeśli cię zawiodą
nad brzeg spalonych domów i każą ci skoczyć
przez wytłuczone okno do czarnych ogrodów,
ażeby na zhańbione prochy - zamknąć oczy.

Ale uwierz tym głazom, co z kamieni bruku
jak psy zdeptane wyją i krwią ludu chluszczą,
i rwą się nie pomszczone, i o bramy tłuką.
O! niech ci one będą jako słowa ustom,
niech ci wydrapią czułość z wzroku i krew z rany,
abyś kochając wielu, sam był pokochany.

O pij, pij te ciemności z zawałonych ruder,
przyjmij w siebie to miasto gromów, które biją,
tych Kilińskich, Okrzejów, jak oskardy trudu,
i kiedy runą w bruki - niech w tobie ożyją.

Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem.
O! chwyć za miecz historii i uderz! i uderz!

luty 43r.

Tadeusz Gajcy

WCZORAJSZEMU

Ufałeś: na niebo jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
łukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin -
Modlitwę nocnych cieni rozwieszisz jak wiewiórkę
na słodkich oczach dziewczyn i szumach topolich.

Ufałeś: trzepot ptaków rozsiejesz ziarnisty,
rozległą piersią ujmiesz horyzonty, w których świat
pływa mały jak z dzieciństwa okręcik.

Klechda z omszałych lat
- świty w klechdzie powiewały krwawe -
do snu kołysała dzieci.

Taką klechdą przełamał się dzień
walczącej
Warszawy.

Wtedy -
rozwiódły się nad miastem ornamenty łun
na złotych kolcach wieżyc i belkocie Wisły,
muzyka - lecz nie nieba - krążyła jak sen,
dziś wiesz:
to skowyt strzałów na brukach się wił,
otaczał, chodził wokół jak zbłąkany zwierz.

A tobie - dni wczorajsze w oczach nie ostygły,
ufałeś...
Księżyc sierpem zmrużone rzęsy kosił,
wśród krzyży zwijał świata purpurową nitkę;
żołnierze nieśli drżące, spokorniałe oczy
na sfruwającą powietrzem
białą Nike.

Falował spokój w ciepłej darni,
kiedy młodzi plecami wsparci o wieczność
odchodzili w głębokie posłania.
Więc nakryły ich obłoki podobne kulistym mleczom
i wiatr, któremuś wierzył - składał pocałunki umarłym.

Nie wiedziałeś, że dłoń, którą uczyłeś śpiewać,
potrafi nienawidzić i pięścią grubieć pełną,
gniewu unosić żagiew -
Ufałeś. Nie ukoił twoich ust śpiew drzewa
i oczu blask nie zajął pod kopułą hełmu,
i serca nie nasycił krzyk wbity na bagniet.

Dzień rozbrój z woni siana. Sandały zielone
niech zostawi przed progiem, na którym go czekasz -
odejmij pustkę oczom, gdy w smutku zatona,
i nie daj mówić wiatrom o liliowych zmierzchach.
Bo kłamią. Bo śpiewają gorejącą lawą,
że znowu dłoń na niebo jak na strunę złożysz,
muzykę podasz ustom -

Dzisiaj -
w piaskach cmentarzy
powiedły echa strzałów,
wiruje błękit niski jak wczoraj łaskawy,
jak lustro.

Każ trawie, by milczała. Jej śpiew cię zadławi,
spowije watą wzruszeń i ciśnię w niepamięć.
Nim ockniesz, się już serce zagubisz w obrazie
I dłonie w przerażeniu milcząco załamiesz.

Dzisiaj
inaczej ziemię witać!
Wierzyłeś: słowiczym pieniem wierszy popłynie sława harda
i wszędzie w barwnych tęczach, obudzi się w mitach.

Nie tak.

Nazbyt duszno jest słowom na wargach
ciosanym z łun i żalu o wadze kamienia -
Myślałeś: będzie prościej.
A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,
by godziły jak oszczep.

Tadeusz Gajcy

TEMU, KTÓRY PRZYJDZIE

Z tamtej strony, gdzie mała kolumna
nieba świeci, u stóp ziemi drętwej
my jesteśmy. Pomyśl: sen i ból nasz
napojony pulsowaniem rzeki,
kwiatów szmerem w powietrzu nietrwałym
słyszysz jeszcze prosty jak organy.

Czas, co smutne ciało ma weselić,
kłosy zgina niebieskie jak dachy
miasta twego i obłoków kielich
chyli w młodość muzyczną. Więc w blasku
rzeczy stoisz, w rękach nic pejzażu
wijesz jasną, jak my złe żelazo.

Ach, tak się dziejom jutrzennym napatrz,
jak my twarze w płomieniu kute
zwracaliśmy, gdzie grom swoje światło
jak fontanny podnosił łódkę.
Lecz się kochać nie ucz tych ogni,
bo sen łatwy - lecz smutek pod nim.

Bo wystarczy nam jedna ziemia,
choć stron cztery i nieba obszar
dziwnie płaski stoi jak z cienia.
Tylko jednej za mało miłości,
by sen przebyć i stanąć powtórnie
dłoń bezbronną unosząc jak strunę.

Tadeusz Gajcy

PRZED ODEJŚCIEM

Porasta jesienną mgłą
mój kraj jak włosiem siwym.
Lecz nim pożegnam go
dłonią z męczeńskiej gliny,
lecz nim się zgodzę z koroną
cierniowych lip i wezmę
w bok mój i serce bezbronne
ciemność jak ostre narzędzie,
niech błyskawicy lament
znów mnie na wieczność wywoła,
bym uniósł sam siebie jak palmę
i płomień poczuł u czoła.

Po kościach zdeptanych idąc
porównam żywioł z żywiołem,
gwiazdę zawistną nazwę,
co nad mą głową czeka,
młodość przywrócę i miłość
snom niewinnego człowieka,
nad którym wół i osiołek
i anioł smutny się zwiesza.
Nogą ognistość przejdę
jak ptak przez obłok przechodzi,
aby pod brzozą zwęgloną
mrówkę pochować nieżywą –
I dłonie rzucę do wody,
aby nie mogły zapłonąć,
gdy przyjdzie spocząć pod krzyżem.

Tadeusz Gajcy

EPITAFIUM

Przechodniu, powiedz
a poznamy miejsce
marzenia, które niesie
bezpiecznie i lekko.
Nad nami niebo rośnie
i wspina się w dymie
pozostawiona dalekość.

Były lata nad nami i są.
Ty zabierzesz nieświadomą stopą
pręcik ziemi otulony mgłą,
co nazywa się dla ust tak prosto,
a jest głosem, co zaciska krtań
i wołaniem z samotnego dna.

Nie zapomnisz, bo woda oparzy
wargi pyszne, i zadusi kłos.
Kraj ten mamy w oczach jak ołtarzyk
z gajem dymów świecących jak kość.
Twarz ukryjesz. Biodra matki suche
nie wydadzą ziarna, gdyby po nas
wawrzyn zostać miał mały jak uśmiech
i jak dłoń albo serce — historia.
Taka miłość. Jak kamień przygniata
ręce nasze przebite na przestrzał
ułożone miłośnie na kwiatach
i żelazie bogatym jak wieńcach.
Nie zapomnisz, bo miłość ta
da ci oczy niezwykle i zmarszczkę,
i zobaczysz się, wolny, pod kaskiem
z bronią naszą w tych spokojnych snach.

Juliusz Krzyżewski

DO CIEBIE, WARSZAWO

Do ciebie, Warszawo, przeniosłem
lata zielone i dziecinne,
i wiek młodzięczy i dorosły,
Narew i pola ukraińskie,
i nad polami prawosławne
krzyże drewniane, przekreślone
na pożegnanie, i pasieki,
po sadach słomą okapane,
biało-różowe ciche domy,
w lat perspektywie cichsze jeszcze.

Rodzinną Łomża tu, nad Wisłę,
na wilanowskie łąki zesła
cieniami drzew i po ogniskach
wieczne mgły i dym rozwiesza.

Kocham cię, miasto mej miłości,
którą poznałem wbrew ochocie,
miłości śmiałej, jak te mosty
nad rzeką skamieniałe w locie.
Kocham cię, miasto, za twój urok,
za szyk wesołych warszawianek,
za poszarpane twoje mury
niby korona albo wianek,
za wspomnień skarb i za bezwzględną
miłość wolności, która świeci
jak miecz Zygmunta, co z legendą
skrzyżował się we wrześnie.

A w belwederskich okien głębiach
wielkości cień przystaje w pąsach;

odbiera żale i przysięgi
i marszałkowskie szarpie wąsy ...
Aż widzę dobre, piękne czasy,
gdy przez Alei amaranty,
przez gwar świąteczny kadilakiem
Naczelnik jechał z adiutantem.
Trzeciomajowych kwiatów bukiet,
pana Wieniawy postać smukła,
mundurów gał, cylindrów ukłon
i tęcza bramy ponad brukiem .
...i raut na Zamku, i w Resursie
bal uroczysty, potem skandal
i dużo śmiechu z tego, jak to
żona ministra gubi takty,
i jeszcze coś ... bo pewien wandal,
z zawodu malarz czy konował,
z nią tylko pił i z nią tańczył,
aż bano się, żeby mój ojciec

w ministerialny nie włożył kojec,
lecz się nie nadał, bo przy świadkach
poklepał damę ... po łopatkach.

O dobre czasy! O beztroskie
wizyty nocne u kochanki! ..
Dziś zapomniane, "jak przesłanki,
z których już wyciągnięto wnioski ... "

Dziś, właśnie dziś, jesienią wczesną
z ruin kościołów i kamienic
w legendzie wstaje nasza przeszłość,
której nie cofniesz ani zmienisz,
i klęski nasze, i zwycięstwa,
i ta nadzieja nieustanna,
co wargi ścina mocy gestem,
że nim opadnie mgła poranna,
nim pękną pięści bólem zwarte,
powieje wiatr i zaszeleści
historii naszej nową kartę
w jesieni ...

Międzylesie 5 VIII 1943

Juliusz Krzyżewski

JESIENŃ ZWYCIĘSKA

Świt, jak sztandar czerwony zerwany z uwięzi,
skrzydłem wiatru uderzy o szczyty kamienic,
rdzą zawisnie na oknach, wybuchnie w gałęziach
granatem, niby owoc zwycięskiej jesieni.

Przyczółkami balkonów uderzą na miasto
pierwsze salwy ulotek, jak zorze poranne,
i pierwsze wśród asfaltów przebudzą się astry
na piersiach i na czołach zabitych i rannych.

Ze śmiechem pękającym jak pistolet w dłoni
poprowadzę na przełaj bieg przez park i mosty
do koszar, radiostacji, magazynów broni,
na dworce zadyszane, na ratusz i pocztę!

Przed nami ministranci czerwoni wybiegną,
guzikami w kieszeniach z uśmiechem okrutnym
na szczęście podzwaniając i na inter regnum,
pochyleni nad każdym ranionym i trupem.

Mundurowcy po bramach jak na Boże Ciało
w ołtarzach rozbrojone wznosić będą ręce,
przeklinając zdobywczy - jeńcom, czołgom, działom
i szlifom w twarz rzuconym, jak wstydu pieczęcie.

A my, wciąż przywołując horyzonty szersze,
za miastem pył słoneczny otrząsając z włosów,
będziemy skandowali krok epicznych wierszy,
zasieki rozwalając na wirażach szosy.

Działa nasze, zdobyte cierpieniem i męstwem,
tęcze krwawe rozepną ze wschodu na zachód,
aż luna przedwieczorna jak sztandar zwycięski
ściekać zacznie czerwienią z nieba, z drzew i z dachów.

Krew w rynnach zabulgocze, gwiazdy z rzek wypłoszy,
zakrzepnie w studniach ciemnych, na dnie w kropielnicach ...
Czarny ochłap księżycy, w obłoku, na noszach
z suteryny wydzwigną na środek ulicy ...

Międzylesie 16 VII 1943

Juliusz Krzyżewski

Nie straszcie mnie śmiercią. Ja się śmierci nie boję,
gdy zasypiam co nocy rozdarty na dwoje;

kiedy jedno daleko i drugie daleko,
oczu mych odbicia noc przykrywa powieką.

Ale życia mojego, gdy błądzę po ciemku,
bez nadziei spoczynku najwięcej się lękam;

kiedy klęka nad moim wypełnionym grobem
moja żywa nad moją umarłą osobą.

Więc nie straszcie mnie śmiercią, bo im więcej umrę,
więcej doznam spokoju i miłości w trumnie ...

13 IX 1941

Juliusz Krzyżewski

MOJE POKOLENIE

Obudził nas po nocy tętent końskich kopyt
tak szybki, że się w śladach podków śnieg roztapiał,
i ogień buchający ze strzech chałup chłopskich,
nad którymi piejący kur czerwony latał.

Chałupy, niby kury na grzędach przycupłe,
krzyk podniosły płomienny na piórach słomianych,
lecz niebo, księżycowym zawiązane supłem,
jak tarcza krzyk odbiło płynące bez zmiany.

Jeden z nich pamiętam, jeszcze teraz słyszę
bicie serca i z wieży cerkiewnego dzwonka:
- a to tylko na łąkach śnieg jak kwiaty skrzy się
i strzemiaenia pustego dźwięk i blask się błąka.

Na ryngrafie nad łóżkiem Czarna Matka Boska,
tak czarna, jak ta ziemia cudza, a nieobca,
gdzie miód z pasiek płynący w złotych wosku soplach
usta słodził i serca dziewczętom i chłopcom.

Z księżycami u czoła szły spokojne woły
śród ziela, co spóźnione zakwitą wieniec,
kołysanki skrzybiały kolebki i stoły
uśmiechnięte jesieni dojrzałym rumieńcem.

Na tej ziemi bogatej, na której mnie matka
miłości nauczyła pierwszych słów i wiary,
dzieciństwo me zostało, lecz nie do ostatka,
jak człowiek, co uprzedził chorobę i starość.

I wszystko, co się dzieje - nie spełnione milknie;
ledwie tylko zakwitnie, już przekwita rychło,
kiedy jasno dokoła, dla mnie jaśniej tylko,
a gdy radość jest głośna, moje usta cichną.

A wolnością karmiony, niewolnicze piętno
na piersi mojej noszę jak różę kradzioną,
pamięć wolności mojej ... Nie trzeba pamiętać
o wolności, bo wtedy nie wolność, lecz zbrodnia!

Nigdy młody nie byłem, nie doczekam wieku,
niczego nie dokonam, co by mnie podniosło,
niby most dźwigam ciężar rzeki i dwóch epok,
a wioślarze wspierają o mnie swoje wiosła.

o pokolenie moje, mądre i bolesne,
cierpiące nie za siebie, walczące dla innych,
pamięć twoja przeminie, ale nasze dzieci
będą miały dzieciństwo prawdziwie dziecinne ...

Warszawa 12 VII 1942

Juliusz Krzyżewski

* * *

Nie wiem. Pamiętać nie chcę ...
Niech Bóg, przeklęty przez nas
milion razy i na świadectwo wzywany,
błogosławiony szeptem,
odwróci od nas swoje rany:
My będziemy świadectwem!
My - aniołowie boleści,
my - bogowie aniołów,
zbawiający i grzeszni,
popioły ...

Precz z mistyczną kabałą!
Duch ujęty jest w ciało
jak cięciwa w łuk giętki,
a pieśń ducha jak strzała
drży napięta i prędką.

My już bogom dorosli
i praw ludzkich niepomini,
nad poziomem nicości
ogromni!...

Przeogromni przemocą,
żądzą, bólem i gniewem,
i mądrością, co oczy
wypełniła po brzegi.

Nam już tylko zniszczenie:
- śmierć zwierzęca i boska ...
- Boże, odwróć i przemień.
Pozostań! ..

Międzylesie 29 XII 1942

Juliusz Krzyżewski

POCIESZENIE

Że jest w nas jeszcze siła i ten duch szlachetny,
jak żagiel nad tonącym wznoszący się statkiem,
zanim widnokrąg niski maszt ostatni przetnie,
a pierś zduszona kawy odmętem się zatchnie,

że z wiarą tak cudowną, jak dziecięcy uśmiech,
przez kraj przelata anioł na skrzydłach męczeńskich,
że lud warszawski milczy i żalem poruszon
serce tylko zaciska kamienne i pięści,

że z okien ostrobramskich, ku nam obrócona,
przez dymy pogorzeliśk spogląda Madonna,
że krzyże na mogiłach żołnierskich graniczne
pług obcy porozrzucił i miecz obcy wyciął,

że z Pustyni Libijskiej przez italskie skały
ścieżka biegnie, na której ptaki nasze swojskie
przelatując siadały nieraz i poznały
z piosenki w zamyśleniu ciągnącej za wojskiem,

i że ja, gdy mi smutek z pióra łzę wytrąci
nad listem do mej córki, której los mi umknął,
piszę, że nie zapomnę, że kocham gorąco,
a ten ślad na papierze - to ślad pocałunku

- więc, że aż tyle tylko zostało nam własnych
nadziei i odwagi i ten strzęp niebiosów,
to niech nikt się nie cofa w głąb zwątpienia ciasną,
bo nie ma, kto by wiarą swą nie przeniósł losu.

Międzylesie 26 II 1944

Juliusz Krzyżewski

* * *

Uścisk, jeśli serdeczny, nie utknie w pól dłoni,
myśl, kiedy wyzwolona, ma skrzydła u skroni,
szlachetność wielkoduszna, gdy osnuwa ją cień,
słów dumnych nie dobiera i wzroku nie mąci
- milczy, jak my, co uczuć przepelnieni mocą,
łzie wzruszenia na oku nie damy się ocknąć.

Dajmy wiarę miłości, mądrości i szczęściu,
wytrwałość nieustanną spracowanym mięśniom,
a znów wiarę młodości, co wykołysała
serca nasze słoneczne i myśli dojrzałe,
by dziś z nas każdy umiał bez żalu i wyznań
nad śmiercią pohańbioną wyrosnąć mężczyzną,
a jutro, tak jak dzisiaj w zaszczytach ostatni,
nawet od serc nie żądać serdecznej zapłaty.

Warszawa 29 VI 1944

Wacław Bojarski

PANIE, COŚ PRZELAŁ KREW ...

Panie, coś przelał krew za sprawiedliwość,
Ty, któryś prawdę głosił nam na jawie,
Błogosław prawdzie naszej sprawiedliwej.
Błogosław naszej najślusznieszej sprawie.
Niech zawsze czuwa Twoja ręka Boska
Nad myślą, która nam wydaje rozkaz.
Nad każdym krokiem żołnierza
I jego celnym pociskiem
Odwracaj, Panie, od niego
Niebezpieczeństwa wszystkie.

Spraw, by nie poszedł czyn dumny na marne.
By jak najdłużej biły serca lwie.
Ty, któryś morze uśmierzył złe,
Nie daj zwyciężyć podłości,
Która jest większa niż morze - bezbrzeżna ...
Spraw, wielki Boże, niech nasz sztandar święty,
Niezwyciężony, niezmięty, klęski i teraz nie zna,
Niechaj zwycięski zawsze pozostanie
Spraw, Boże Archanielski,
Spraw, Wiekuisty Panie.

Wacław Bojarski

HYMN

Ty, coś mi w płucach kwiat tytoniu zasiał,
że rośnie i świeci moim trudnym snom,
Czy wiesz?
Ziemia spalona ma gorzki zapach,
Rzeki wiosenne wciąż płyną
Obłoków surowych
Kra.

Oczy moje,
Zatopione w cieniach liliowych,
Jak na mapie
Śledzą drogę Twoją w supłach żył.
Czy wiesz?
Usta muszę zaciskać surowe,
Kiedy krzywda małych i prostych
W oktawach płaczu nad miastem drży.

Gdy przechodzę po twardych brukach,
Jak przez życie
Na ukos
I odciskam twarde ślady stóp;
Tam, gdzie tylko troska i kamień -

Troskę stopom odejmij,
Bruki w chleby słów
Zamień.

Może wołam na próżno i - po co?
Może tylko mową Twoją przywalony,
Jak w topieli
Słów wychlusty rękami rozgarniam
Coraz trudniej i bardziej obco?

Czy wiesz?
Żeby ból mój w krzyk jeszcze nie stwardniał,
Tak po prostu ku śmierci otwarty
Wiatr młodości
Łapczywymi połykam ustami.
Ja to wiem,
Ja jeden, bo któż by?
Jak to jest, gdy się twarzą od snów kolczastych zmiętą
Wyrwane nagle z dłoni rozłożonych muszli -
Cudzych twarzy zmęczenie potwierdza,
Własnym pięściom nie zmęczonym zaprzecza.
W pięściach jest tęsknota nie spełnionych spraw,
W twarzy smutek źle spełnionych rzeczy,

I tak idąc coraz głębiej w miasto,
I tak w siebie idę coraz głębiej,
Mijam troskę, złe sny, bruki, nędzę własną,
Krzywdę ludzi, rzeczy, gołębi.
Patrzę w twarz gniewowi Twojemu,
Który spokój nam jesienny rozciął.
I tak idę
Własną małością zrozpaczony,
A po bokach żarliwą kołyszę nadzieję
Rzeźbioną w twardych kształtach zaciśniętych palców.

Zanim przyjdiesz nad ranem
Wybujale od blasku kwiaty tytoniu zbierać,
Żeby już tak boleśnie nie kwitły, bo po cóż?
Ty, co umiesz
Ku śmierci łatwiej otwierać -
Ku Wielkości trudnej mnie otwórz.

POKÓJ DO WYNAJĘCIA

Na ulicy Nieznanej Tęsknoty pod numerem niewymiernym stoi dom moich marzeń, mój własny dom. Wielki, kolorowy dom. Budowany w stylu Słowa Prawdy. Po ceglach przeżywanych dni spływa, spływa ciężki trud długiej pracy. Bardzo długo rozbudowywałem mój mały dom wielkich marzeń. Krwawiłem ręce mozolnym trudem, drżałem opętany strachem, żeby nie spaść z rusztowania. A przecież rusztowania powiązane często słabymi bezdusznymi myślami chwiały się na wietrze, oj chwiały. Kto policzy godziny męki serdecznej, niemego wyczekiwania na samotność! Wyturalem! Hej, ginie wysoko w chmurach kolorowy dom moich marzeń.

Dziwny dom. Na parterze o wysokich oknach mieszka mój najważniejszy lokator. Wysokie okna są zasłonięte gęstymi storami. Nigdy nie widziałem twarzy mego najważniejszego lokatora. Wy, małoduszni i ślepi, mówicie, że go tam nie ma. NIEPRAWDA! On jest, na pewno jest. Ja wierzę, nieudolnie, ale gorąco wierzę, że on tam jest.

On - mój najważniejszy lokator o twarzy najpiękniejszego smutku. Przybite na drzwiach - zamiast tabliczki z nazwiskiem - serce wskazuje, że tam mieszka ON - BÓG.

Moja Ojczyzna ma pokój z balkonem od podwórka. Nie chciała mieszkać od frontu, bo nachodzili ją natrętni jazgotliwi akwizytorzy, którzy chcieli uzyskać jej podpis na swoich tandetnych towarach, których hasła wykrzykiwali na rogach każdej ulicy - wycierali nimi zakurzony bruk. Mówili, że moja Ojczyzna mieszka także w ich zimnych ozdobionych szyldami domach, ale to nieprawda. Moja Ojczyzna ich nienawidzi, zamyka przed nimi drzwi, ale oni wtargną do niej wszędzie. Ukradną jej imię i poniosą na swoim transparencie.

O, straszna to będzie chwila! gdy Ojczyzna moja zbuntuje się ognistym czerwonym buntem przeciw zgrai tandeciarzy.

Ale moja Ojczyzna czeka. Nauczyla ją cierpieć po cichu ci, co ją przez wiek trzymali w łańcuchach. Wysoko w małej izdebce na poddaszu mieszka moja dziewczyna. Na oknie jej pokoju stoją rzędem moje słowa zamienione w pelargonie. Moja dziewczyna kocha małe dwuwiersze doniczek z kiełkującymi słowami.

Za to ja kocham Ciebie, Dziewczyno moja. Nie gniewaj się, jeżeli spóźnię się do Ciebie wieczorem. Mieszkasz na poddaszu, a po drodze mam tyle pięt, tylu lokatorów. I Boga, i Ojczyznę, i Pracę.

Wznosił się granitową radością dom moich kolorowych marzeń coraz większy, coraz wspanialszy. Aż ustała nagle praca. Wywiesiłem na bramie małą tabliczkę: "pokój do wynajęcia".

Coś się rzuca czasem do mózgu rozchlustaną oszalałą myślą, coś ustaje czasem równie nagłą świdrującą pustką ciszy. Oto jeszcze do wczoraj w prawym skrzydle mego domu nad izdebkami, w których mieszkały moje wiersze, mieszkał SPOKÓJ. Wczoraj wyprowadził się. Któż zamieszka w pustym, strasznie pustym pokoju - w kolorowym domu moich marzeń, który ma od dzisiaj jedno ciemne, ślepe okno.

Wacław Bojarski

RANNY RÓŻA

Ruiny miasta?

Ależ nie. To wystrzyżone fantastycznie i prymitywnie z czerwono-szarej tektury prosceniem wędrownej szopki.

Pośrodku pięciu "chłopców malowanych", malowanych zielenią i rozpaczą.

Pod pachą każdy ma kijek maleńki, wystrugany gładko, którym

można by poruszać te figurki wypchane pół na pół trocinami i muzyką.

Ach, potrząśajcie, potrząśajcie białymi mandolinami i całujcie melodie proste

w sam środek liścia na pół złożonego przy ustach.

Jeszcze chwila, a u warg wam muzyka gałązkami rozmarynu zakwitnie.

Jak to ładnie i jak śpiewnie tak się pytać ciągle i tak ciągle nie wiedzieć:

- Wojenko, wojenko, cóżeś ty za Pani?

Teraz koła przejeżdżających samochodów melodię smugami pędu po powietrzu rozciągną.

Z białego nieba pada deszcz stukroplisty. Jest on zbyt zwyczajny, abyśmy go tu mogli zrozumieć.

Deszcz bomb stukroplisty z nieba czarnego.

Ach, nim doleci do ziemi - to niebo czarne sprzed oczu powiekami odgarnij.

Deszcz straszny i rześisty uderzy w struny mandolin kroplami -

"pąkami białych róż".

Jak boli - --

Wacław Bojarski

ZIELONY POMNIK

Przechodziłem Krakowskim Przedmieściem niedbale i potocznie

koło zburzonego pomnika Wdzięczności -

- jakim trudem wznieść mi to uczucie proste a pomnikowe

przecież -

- żeby zapełnić ten brak kamienny w powietrzu potocznym i niedbałym?

Chyba tylko powietrza tego do płuc nabrać - z wdzięczności, że przecież mimo wszystko -

- jestem.

I teraz patrzę:

Na trawnikach wynajęci staruszkowie ziemię kamyczastą i szklastą malutkimi łopatkami ciapią.

Niezdarni i mruczący cichutko tajemnicze dziaduniowe piosneczki.

Tak się nam ziemia śpiewnie i powoli napoczyna.

Jak to tak można? Jak można?

Ponad nimi przecież rosną drzewa i słupy tramwajowe - wysokie.

Megafony na drzewach i słupach krzyczą wojnę.

Wojną rozchwiane gną się i szumią drzewa.

Teraz karabin maszynowy nienawistnie koszący liście z drzew pamiętam.

Teraz -

- liście chmurami czerwonej żółtości od drzew jesiennych odpadają

- jak słowa kłamliwe.

To było. A choć jest już przedwiośnie,

Suchymi konarami w górze klekocze wojna.

Jak to tak można? Jak można?

Ależ na to, żeby w tej chwili pochylać się tak nad ziemią ledwie napoczętą i posłusznymi grabkami grudki koloru ciemnoblonde głaskać

- i tak prosić:

- no, rośnij, rośnijże, soczysta! -

- na to trzeba być starymi herosami, rzucającymi siwe brody łagodnie na wiatr.

Kiedy się wreszcie piach koloru ciemnoblond, kawałki cegieł, szkła
i tej ugornej, przyulicznej niemożliwości jakiejś

- kiedy się dadzą herosom w podartych jesionkach -
- uprosić o zieleń -
- odrośnie w próżni bolesnej święty pomnik wdzięczności -
- wdzięczności dla własnych sił, że oto, mimo wszystko -
- jesteśmy!

Andrzej Trzebiński

NA GÓRZE OGNIA

To ziemi czerń zawiera ogień georginii. I z niej dzwoniące na gałęziach brąz i miedź owoców.
I jej głąb wyrzuca wiatry płonące na cztery strony lasów.

Pod kwiatem, owocem i wiatrem leży ziemia chmurna i blada.
- - I tam odchodzi człowiek.

Czyż nie odkrywa się wtedy spod prochu i czarnych skib dno koloru kwiatów znad ziemi,
i dno płomieni ludzkich - ?

Nakładające się na siebie pokłady i kopalnie barw zagęszczonych
w destylat, przejrzyste i lekkie góry.

Góry, doliny ognia ...
Tam korzenie zapuścić po sok, nieugaszonych gór.
Powiedz, bo wiesz, - Umarły:
- - I tam odchodzi człowiek - ?

Jakże ukryte oczom przeciętnych jest to przeznaczenie bliższe stopom, niż czaszkom,
choć i stopy wędrujące po górach ognia, przechodzą, mijają je obok.

To ten raj, którego obecność z latami zarysowuje ci mózg w deseń
myśli ...
- - o śmierci - ?

Stamtąd wychodzą kwiaty, których nikt za grzech żaden nie wygania, a które tylko są znakiem dawanym.
I nas nikt nie wygania stamtąd. Tam się wraca - -

Kiedy włosy, jak pnie drzew, obielone zostaną na starość, kiedy
źrenice wypełzną niebiesko, jak popiół po życiu wypalonym - -
- - Wtedy wraca się tam.

Wracają wołani nasturcją.

Bo Bóg niekoniecznie objawia się w krzaku gorejącym: nieraz po prostu w pojedynczej nasturcji, która kwitnie.
- I to nie świadczy źle, ta pokora ...

Tam idziesz - -
Lecz inaczej: bo w ogniu młodości pełnej

Człowiek.

Tam spotkamy się zakopani głęboko, wrośnięci korzeniami kości,
leżący w ziemi na wznak ...

A gdy gwiazdę spadającą z nieba ujrzysz, wiedz - że:

W ziemi są głębokie cmentarze nawet dla gwiazd i meteorów,
które także leżą na wznak pod skrzyżowanymi przez wiatr i słońce
drzewami sosen.

Tak, jak ty i jak oni: Polegli.
Tylko nikt się nie modli za nie ...
Tam leżysz - -

Z którego wyrastają nad ziemię ciężkie, jak żelazo ogromne,
w niebo wbite czyjaś pięścią olbrzymy - -

- - Dęby.

1943

Zdzisław Stroiński

O POLEGLYM

pamięci St. Lomienia

Przymierzaliśmy postaci tamtych do śladów drobnych, jakby zrobionych pazurkiem wiewiórki, która przebiegła w pośpiechu.

Gdy zrozumiałem cień jego włosów tam, na murze z cegieł czerwonych, niebo szarzało od deszczu i śmierci. Między cegłami w silnym betonie gną się delikatnym jak puch spalonych lasów.

Ach, więc to profil twarzy dziecinnej przechylonej na promieniu słońca?

Wołanie na pustkę pól mazowieckich wyrównanych jesienią?

Spod brzoź w "złotym deszczu" stojących niebo i ciszę przynosić?

To drzewa srebrne i rzeki szumiące bardziej od obłoków i kwiatów pisane w półcień stawania się leżą tu, pod niejasnym wiekiem salwy?

Na tamtej, na tamtej stronie tak już cicho. Krew wypaliła w murze szczelinę na wylot - tam leży pudełko od sardynek, kości zwierzęce i trochę śmieci już nieokreślonych.

To uroczystość zapomnienia, dlatego chodnik umyty odświętnie.

Przechodnie kapeluszami na ceglach rysują gorączkową wieczność.

To już pod cegłą, pod płytą, pod asfaltem zamieniony w ciemność opada ...

Pośród domów i ruin nieruchomiejących wciąż nieubłagane ta kapryśna czerwona linia o brzegach rozlanych na asfalcie drży jak niewyraźna litera rozpoczętego słowa.

Gdy na dzwonku tramwajowym zadzwoni niebo wciąż szare i pochyli się nad nami, czy zrozumiesz, czy zrozumiesz, po co żyć i po co umierać.

ROK 44

Na żółtej od końskiego gnoju ulicy okrągle wróble wypełnione zdziwieniem skaczą między dziwnymi kształtami, które upadły na bruk z zalanych gipsem ust konających.

Grupka ludzi, zaplątanych w jakiś stary deszcz jak w drut kolczasty, tkwi na rogu.

- Co za cholerny naród - piszczy pękata kwiaciarka w kraciastej chustce i zaczyna się energicznie rozpychać łokciami.

Jakby w odpowiedzi wykrzywiona cegła wystająca z ciemnego tynku skrzypi przeciągle jak żuraw.

A gdy ospowaty mur na wprost marszczy się jak toń rzeki, jest tak cicho, że słychać, jak daleko w zadętych śniegiem chałupach pomarańczowy ogień gra nieśmiało na pochyłych, zakopconych kominach i rozżarzone węgle odrywają się z sykiem.

I tylko górą sztandar chmur.

I tylko dołem milczenie ust otwartych.

Czarny jak burza Kopernik kamienieje nad arkadami przestrzelonymi kropelką krwi.

Ludzie i drzewa rosną ociężale pośród topniejącego śniegu, znaczeni małymi jak pocisk krzyżami na czołach.

Za nimi na horyzoncie ognisty słup.

- Co za cholerny naród - pisnęła znów pękata kwiaciarka w kraciastej chustce.

Leciutko podfruwają wróble nad dziwną ojczyzną, która potrafi się tylko objawiać pozłożonym żytem i brzożami albo skrzepem krwi wśród końskiego gnoju.

Ale tu jest zaledwie śnieg, więc zakwitają białe trawy i matka nuci martwemu dziecku kołysankę monotonną o kraju modlitw i przekleństw wypełnionych.

Ale tam - Mickiewicz żelaznym skurczem łamie kształt nad stojącą drętwo ciemnością i płomieniem

- i straszliwa przepowiednia dopełnia się powoli jak głaz wychylony z podstaw.

Ludzie na rogu gną się ciężko jak most.

- Co za cholerny naród - piszczy pękata kwiaciarka w kraciastej chustce.

ŻYCIE

Tylko przed świtem widać było, jak deszcz gwał wierzby i łoży nad wodą spłoszoną skrzydłem wracającej sowy.

Ale to już dawno, gdy ziemia wyrzuciła z siebie krzyk i płomień, który zburzył domy i chorągwie.

Pamiętasz, poległy przyjacielu? - krzyk i płomień gasł w dłoniach rozwartych - nocą wznosiły się strzały ostatnie jak srebrne bańki powietrza z ust tonących.

Niebo płynęło wtedy głębokie i spokojne, a gotyckie żdźbła trawy pochylały się blisko, coraz bliżej, już w oczach.

I umrzeć było tak łatwo - tylko dniem w dym i słońce się pochylić, tylko nocą gwiazdy coraz chłodniejsze dłonią z czoła odgarnąć.

Domy pękły i posypały się w gruzy popielate i pomarańczowe - sprzątnięto je - na tym miejscu w skleconych naprędce sklepikach prądkowany grzebień szczyrzy zęby w krzywym uśmiechu i świeci łysy pagórek cebuli. Pod murem rząd koszów z chlebem i bułkami.

Idą ludzie ulicą, na której kamień i asfalt już tylko.

Więc umierać jest trudno.

- Tam gdzie rozebrano barykady, wyrósł las pomidorów i poranny krok robotników grzechocze po wymytych mgłą płytach, i ostry głos trąbki samochodowej strzela z pędzącej na obławę kolumny.

Z amarantowych płatów druku, niespokojnych jak chorągiew, znów krzyk i cisza ścieka na ulicę, na której kamień i asfalt już tylko

- Więc umierać jest trudno.

Bo pod wysokim sklepieniem salwy życie jest proste jak śmierć.

Przyjacielu, padając pod łuk salwy - uważaj, nie uderz głową o kosz z chlebem.

POD NIEBEM

Pod niebem przechylonym jak okręt tonący stoją kamienie i żelazo pogiete w kształt na wpół ludzki.

I wycinek trawy jesiennej rzadkiej i zrudziałej, pod którą kości poległych rysują deseń cieniutki jak kwiaty mrozu na szybach.

Tu mały konik o wyleniałej grzywie i wystających, za dużych oczach ciągnie wóz z sianem o zapachu zachodzącego słońca.

Prosta nuta pociągu spływającego po moście z bierwion poczeriałych i szmer salwy podobnej westchnieniu idzie przez równinę porośniętą deszczem jak sitowiem.

I to, i pamięć niejasna dymu i sosen nad uśmiechem, i cisza po tych, co zginęli, jest ojczyzną, którą niesiemy na wpół senni pod niebem przechylonym.

I nie ma w nas nic prócz nocy, w której cień skrzydła obrysowany przerażeniem, i prócz nienawiści wpiętej u ramion niewidocznie - czasem tylko błyskającej na wytartym, lśniącym kancie hełmu lub oczu, lub metalowego guzika.

To pod każdą płytą i kamieniem ciemnieje twarz przyjaciela lub ojca o ustach otwartych boleśnie jak u ryby uduszonej.

Więc drżący jest horyzont i ręka śmiesznie w pustkę wyciągnięta.

W niewielkiej kałuży przeglądają się ubłocone buty i twarz przecięta skurczem bezradności.

Krzywonogie dziecko przebiegło w kulejących podskokach i bryznęło błotem.

Dalej dwóch pijanych chłopców w wytartych baranich czapach zatacza się bełkocąc między jednym a drugim napadem czkawki - Jeszcze Polska.

Zaczyna się ściemniać, zamykają sklepy, ale jeszcze widać, jak za rogiem jaskrawo kwitnie przerażający sen o rozstrzelanej siostrze i trzech morzach szumiących.

O WOJNIE

Przez las, drogami z sosnowych okrągłaków samochody wiozą wojnę. Dalecy podnoszą broń do oka. Na przedmieściu w krytych żółtawym płótnem straganach sprzedaje się jabłka i tęcze. Motory huczą na lądzie, w powietrzu i na morzu. To nawet posiada pewien wdzięk - z Nowego Świata widać głęboką brudę zielonej wody, którą pancernik wypisuje tęsknotę na kanale La Manche. Widać też, jak w oknie pierwszego piętra krótko ostrzyżona dziewczyna bawi się z kulawym kotkiem. Czołgi wspinają się na ścianę kwitnących nikło krzaków i grzechoczą, jakby wiozły w środku czaszki i piszczele.

Domy i wieże sypią się gradem na ziemię - siwy koń ciągnie pod górę pług, słońce i wrony siadają na wyoranych kamieniach - dym z krematoriów buja w pogodnym niebie. Jednocześnie na skraju lasu i łąki wojenni podchorążowie ćwiczą natarcie.

Teraz można spostrzec zwisające z drutów telegraficznych bibułkowe, prawie białe skrzydło anioła, który piegowaty był chyba. Niżej kaleka o chytrej twarzy gra na grzebieniu *Warszawiankę*. To jest szklista powierzchnia rzeki nieruchomej, ale zaraz jedna z wielkich ryb rzucających się w głębi wyrwie się na wierzch.

O ŚMIERCI

Zarysy istot, którymi mógłbym być, ale już nie będę, milczą jak rozrzucone zabawki opuszczone nagle przez dziecko. Śmierć jest ze mną i we mnie.

Chodzę w niej jak w płaszczu za dużym na mnie - więcej szerokimi rękawami i ciągnąc poły po ziemi szeleszczącej jak blacha. Nieprzeźroczysty zapach mydła i przestrzeni oblepił odejścia moich bliskich, gdy odrywali się od istnienia jak wielkie kawały tynku. Przerażliwa zagadka ich roztapiania się okratowała mnie w separacie zgrzytliwej i daremnej. Już przestałem rzucać się na kraty, drapię się tylko w głowę i chodzę w kółko.

Śmierć niewyraźna - o tam - mieni się w oczach, rozciąga i kurczy. Jako chmura ciemności toczy się po niebie spłaszczonym i niskim - potem uwysmuklona nagle romantyczna heroina jest tą, która wdeptuje oczy końcami swych błyszczących francuskich obcasów. A gdy potok ironii unosi ludzi - drewniane kukły o wyprężonych drętwo rękach i nogach - pęka z trzaskiem lustrzane przecucie braku mnie, który w pustce pozostałej będzie podskakiwał uwiązany na tykaniu wszystkich zegarów jak na sznurku.

WARSZAWA

Podczas budowania barykad Wisła pełna odbić lasów, ptaków i białych dróg wysadzanych topolami podniosła się - z początku jak mgła - potem jak sztywna okładka książki. W jej cieniu świtanie wychodzą stróże wielkimi, postrzępionymi miotłami zamiatać płacz, który zebrał się przez noc i zalega ulice grubą warstwą. Już i przekupki poszerzone do granicy blasku słonecznego zachwalają kartofle wyrosłe na grobach. A na horyzoncie ulicy poprzez huk granatów leżących w załomach bruku już od miesięcy przesuwają się dusza miasta. Odbicie jej twarzy za trudnej do zrozumienia zostało na wykrzywionych twarzach ruin jak na chuście świętej Weroniki. A ci, co przyjdą kiedyś-kiedyś i będą chcieli je odczytać wodząc sinymi od chłodu rękami po rysach naciągniętych jak struny i nieuważnymi palcami będą potracali jęk zaschłych

w szczelinach - wybuchną modlitwą czy przekleństwem.

- Ojczyzna zbiegła się tu z wyrąbywanych lasów i wsi zmienionych w wycie psa. Trwa wzniesiona na szepcie broni maszynowej. To tyle krwi i patosu trzeba było czekać, by z ciszy zburzonych pomników zbudować takie sklepienie nad miastem jazzu i śmierci. Teraz lemury z gotyckich świątyń obsiadły dachy tramwajów i straszą urzędników ubezpieczalni wracających do domu. Pod płytami trotuarów snują się umarli i tętnią w puklerze dające głuchy odgłos, a wieczorem w szpalerach szepców chodzą pod rękę z żywymi i poznać ich można tylko po skrzydłach z ręcznie złożonych, które im jednak odstają na plecach jak garby. Ale za dnia huczą olbrzymie kamienne kołowroty i jedynie koło południa, gdy ludziska zasiadają do obiadu i robi się trochę ciszej - słychać wyraźniej ciężki miarowy stuk podkutych butów Boga.

Tadeusz Borowski

UMARLI POECI

Umarli, spaleni, rozstrzelani,
dla was piszę, koledzy młodości.
Oto ciągnie nurt ziemi nad wami
i szumi - szumem roślin.

To milczenie, bezruch i pustka,
wiry ziemi, zastygłe na pół -
gdzież jest ból, żeby martwym ustom
słów nie zabrakło?

Oto w górze, wysoko na pniach
z was wyrosłych szumią noce i burze,
ustom, ziemią porośłym i wapnem,
słów szukać próżno - -

Już za późno, za późno uwięzionym
[rękom
łamać się w nocach, w burzach
[nieucichłych.

Próżno żywych wołacie jękiem,
rozpaczą wichru.

Próżno, próżno. Wichry się kłębi~,
wabi trawiasta głąb, pachną podziemne
[łaki,
dalej trzeba, pod ziemię, głębiej i głębiej,
aż do was wstąpię.

Już za późno, za późno. Umilknę,
miniony, zapomniany. W martwych
[oczach
chwieją się drzewa, leśne, śpiewne wilgi,
ośleple nurty ziemi toczą się, toczą-

Zaplątani w kłacza paproci, . . .
w korzenie brzoź, w kłęby dzikich malm,
płyniemy, umilkli, dokąd i po co?
dalej, dalej - - -

Zbigniew Stolarek

JUTRZEJSZEMU

Minie nasz czas i człowiek inny
- o stukot serca od nas wyższy -
w kartach historii swoje imię
myślą i mięśniem znów wypisze.

I jeśli dni odmiennych zapach
wolnością płuca mu napadanie,
niech wie, że krok się jego splatać
musi z pragnieniem tych, co padli.

Niech wie, że wolność też jest ciężka,
gdy ma być więcej niżli słowem,
że ponad jutrem cięży przeszłość
łaskotem kul karabinowych,

że życiem twardym, śmiercią twardą
drogo płacono jutra cenę,
że wszyscy ci, co padli w salwach,
to więcej niż przeszłości cienie.

Ich trud mieć w sercach swych wrytym,
- czcić rocznicami nie wystarczy-
przyszłość wygrywać tak jak bitwę
- wolni o wolność muszą walczyć!

Roman Bratny

DRAMAT W KOŃSKIEJ ŻRENICY
(Rzecz dzieje się na Starym Mieście
w 1944 roku)

To wszystko chwilę widać
[na bohaterskiej arenie
żrenicy upadłego w wybuchu rumaka,
którego sam dorożkarz nawet nie
[opłakał,
bo nie wie nic - na barykadzie - przy
[cekaemie.

To wszystko widać:
Matka Boska ze ścian kościółka, który
[naprzeciw żrenicy leży
- choć taką małą widać, że samiutka
[siebie
uniosłaby na rękach zamiast swego
[synka.

I dom widać tak mały, że całkiem
[zmieściłby się sobie
przez okno, przez wybitą szybę jedną
- dom jest mniejszy niż piórko na
[wróblim ogonie,
który mignął nad końskiej żrenicy
[areną.

Teraz wróbel odleciał, a Marię zastąpił
[brutalnie
- zajął jej miejsce w żrenicy -
[z automatem-
żołnierz biegnący (pamiętasz wojsko
[ołowiane?),
maleńki i schylony. O Mario!-
[upadnie!!

Upadł! Już Maria puste po nim wyciąga
[ramiona
i widać poległego pięść większą niż
[dom
- to już będzie - nie wyrwie ręki
[żołnierz, łbem nie rzuci koń,
na trwałe hełm zmieniła Marii aureola.

W kącie żrenicy końskiej ziele ogień
- przy samej pięści zabitego na linii
łuna leży malutka - to kwiat georginii
- to tutaj opadały wiszące ogrody
(skrzynki z okien u pięter)
- ten koń się pewnie schylił, by
[uszczknąć zieleni,
i wtedy granat trafił i stąd na arenie
kwiat u poległego zaciśniętej pięści.

Do stóp Marii niosą ciężki karabin
[maszynowy - i już bije jak wściekły!
widać malutkich, zrywają się! -
[biegną,
rosną! Co to?! Raptem ciemność.

- Padł tuż przed końskim łbem
[dorożkarz niepodległy

Adam Ważyk

PTAKI SPALONEJ WARSZAWY

Ptaki, spalonej Warszawy świadkowie,
lecą i płaczą w stulecie-pustkowie.

Prawda w ich dziobie jest ździebełkiem słomy,
w słońcu wydłuża się cień ich ruchomy.

Córka Warszawy patrzy na nie bosa,
a one gniazd nie uwiją w jej włosach.

Ptāk, co cierniowi w jej stopie zazdrości,
śpiewa w powietrzu o mieście miłości.

Na ziemi cegły układając człowiek
buduje miasto, które zna spod powiek.

Julian Przybóś

NAD POLEGŁYM POWSTAŃCEM

Świt zrywa się za każdym wybuchem -
padasz.

Wolny, wzniesiony z rodzinnych wzgórz
słucham:
to tamtych salw tylko pogłos i pobłysk -
i z nocy, jak z okna spalonego domu, widzę:
to płonące ulice Warszawy
nad rannymi, walczącymi o śmierć z bronią,
rozwijają flagi pobojuwisk:
nieskończony skrwawiony bandaż.

Krwawisz-
wolny już.

Gwoźnica 3 sierpnia 1944 r.

Miron Białoszewski

CHRYSTUS POWSTANIA

Na ramionach usnął ci ogień
kołysze go w brąz płonące miasto
dwa stosy masz zamiast powiek
ale jest krzyż z gorących oddechów.

Idź przez mur do czerwonych arkad
między popiół tłumu
i przemieniaj na wargach
ogromne liście płomieni w wino.

Barykady jak Góry Oliwne
szumią okruchami kości –
dłoń po dłoni wywlecze
spod ziemi bruków i odpuść.

Wstąp w Jordan kanałów –
w szlamie zielonym jak wieczność
szukaj nieżywych włosów:
w Imię Ojca... i Ducha...

Kazimierz Wierzyński

NA KOLUMNĘ ZYGMUNTA

„Jest u nas kolumna w Warszawie

SŁOWACKI

Jeżeli i ty runiesz, jeśli ciebie zburzą,
Na której sadzał ongi podróżne żurawie
Słowacki niewygasła potrząsany burzą,
Widzący cię w obłokach, w swym śnie
o Warszawie-

Zostaną jeszcze oczy, Kilińskiego oczy,
Zielone od płomienia ulicznej latarni,
Jak w tamtym wierszu skryte ...

Z nich kiedyś proroczy,
Mścicielski krzyk uderzy, upiora spod darni
Żywi ludzie usłyszą podziemne wołanie,
Na wiatr sztandary wyją, grót błysnie u drzewca,
I wolność z czarnej ręki podźwignie się szewca,
I kolumna królewska na placu powstanie.

1944

Teresa Bogusławska

LIST

Nie słuchaliśmy w drodze drzew płaczu -
Lodeszliśmy, zda się, pogodnie
Z piosnką o tym żołnierzu-tułaczu .

Bo nie wolno nam teraz, nie wolno
Serc swych łamać w takiej żrącej męce.
Mamy trudy przed sobą ogromne
A do pracy tylko własne ręce ...

Więc też oczy nasze w długiej drodze
Ani razu nie biegły ku Tobie -
I zostałeś, samotna i wielka,
Rozmodlona w swej strasznej żałobie .

My nie będziemy tam płakać za Tobą,
Choćby serca w strzępy nam się darły,
Będziem mówić o Tobie w obozach,
Jak o żywej, nie jak o umarłej.

I dopiero po miesiącach ... latach ...
Kiedy skończy się nasza udręka,
Nadciągniemy, jak ptaki do gniazda,
By przed Tobą w milczeniu pokłekać.

By powiedzieć, cudownej i świętej,
Ześ nam w sercach rozpała jasno
Taką miłość i wiarę, i siłę,
Ze do śmierci nie zgasną, nie zgasną ...

Wstanie wtedy świt przedziwnie jasny,
Świt perłowy z wstęgą tęczy mgławą ...
Ty się zbudzisz do nowego życia,

Nasza wielka, wyśniona Warszawo!

19 X 1944

Władysław Broniewski

63

Ujazdowskiej już nie ma Alei,
została Golgota Męstwa.
Ja wykreślam Aleję Nadziei
i Most Zwycięstwa.

Ja nie jestem urbanistą, specem
od ustawiania cegły,
ale moje słowa dolecą
do Niepodległej .

Ockną się martwe ulice,
spojrzą milcząc:
Wolska, Krakowskie, Waliców,
Krucza, Wilcza,

skrwawiony łeb Żoliborza
padnie na tors Śródmieścia,
upiory szepną: "Może?
Wreszcie! ... ",

zrabany wstanie Mokotów,
Praga, wielekroć krwawa,
nieugięte Wola z Ochotą...
Wierście: z orlim skrzydeł łopotem
zmartwychpowstanie W A R S Z A W A !

Palestyna 1944

Artur Międzyrzecki

MODLITWA WARSZAWSKA 1944

Oto posągu rozbity kamień,
Oto umarłe ulice.
Święta Maryjo , módl się za nami
O amunicję.

Oto bezduszny serca egzamin,
Oto po dwakroć ruiny.
Święta Maryjo módl się za nami
O karabiny.

Gdzież są granice ludzkich doświadczeń,
Gdzież jest zapłata rozwalin?
Święta Maryjo, nikt tu nie płacze,
Gniew tu się pali.

Noc nam śmiertelne okrywa rany –
Nim świt odsłoni nas blady,
Święta Maryjo, wstąp razem z nami
Na barykady.

Oto nam huczą strzały armatnie
Na szańcach Żelaznej Bramy,
Święta Maryjo, w palbie ostatniej Módl się za nami.

Wrzesień 1944

Kazimierz Paszkowski

WARSZAWA BOHATERSKA

Łuny bitewnych pożarów, huki bomb, dym
i kurzawa,
A niebo czyste, pogodne ponad ginącą stolicą.
Tutaj jest piekło na ziemi: to płonie cała
Warszawa!
Przemyka śmierć niewidzialna każdą, każdą ulicą.

Giną dzielnice i domy, apokaliptyczny taniec!
Wyją piekielne miotacze, granaty i samoloty,
Wszędzie krew, trupy i ranni: tu barykada,
tam szaniec,
Myśl tylko jedna ulata orlim wolności lotem.

Bój trwa tu we dnie i w nocie, ostatni, na śmierć
lub życie!
Tak walczą tylko szaleńcy, którym śmierć jeno
została,
Śmierć jeno: na barykadach lub pod gruzami
piwnicy.
Tu rozpacz tchnienie wydaje, tam bohaterstwo
i chwała!

Prężą się ręce do zemsty i zemsta usta zaciska ...
Warszawa walczy bezbronna wobec nawały
Teutonów:
Broń nasza jest w naszych piersiach, w piorunach
oczu i w błyskach,
Którymi niebo otworzymy do pomsty straszliwych
gromów.

Warszawa jest bohaterska, jest nieśmiertelna, choć
krwawi,
Choć śmierć niemiecka największe, najkrwawsze
w niej zbiera plony:
W tysiąc dziewięćset czterdziestym i czwartym
roku w Warszawie
Zabili Niemcy niewinnych Polaków ćwierć miliona!

Gdzież drugie miasto na świecie, co by się równie
porwało
Na wroga, co niósł śmierć pewną i ostateczne
zniszczenie?
Gdzie miasto równie pokryte kirem żałoby
i chwałą.
Stolica gdzie - wieków sława, stolica - wieków
cierpienie?
Przeszłość się schodzi z przyszłością w cieniach
Twych ulic i domów
By pokoleniom zostawić Twej sławy wielki
testament.

I żyje w Tobie płacz wszystek. co się narodził
wśród gromów,
I krew, i lacrimae rerum, i wielki Narodu lament.

o dumna Polski stolico! O Bohaterska Warszawo!
Ty śliczna Pani w żałobie, nadziejo synów
i wnuków,

Jak pielgrzym spieszę do Ciebie. podnieść Cię
żywą. choć krwawą.
Całować Twe święte zgliszcza i święty kamień
Twych bruków.
Kazimierz Wierzyński

A WIĘC STAŁO SIĘ

A więc stało się! Gruzy już tylko i klęska.
I skowyt nieczłowieczy spod ziemi dalekiej.
Zamknijcie jej kamienne na czole powieki,
Umiera pokonana. umiera zwycięska.

Już tylko widmem bladzi i jest tylko zjawą,
Lecz wychodzi nad ciemność i wachty roztrąca
I w górę idzie smugą szeleszcząc miesiąca,
I jak kometa wróżbą rozświetla się krwawą.

Mija granice, armie, moc wszelką przerasta
I nocą przelatując, ze swej wysokości,
Jak gromowładna klątwa nad ziemią podłości.
Los świata zapisuje w los jednego miasta.

1944

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska

FRONT NAD WISŁĄ

Znów się Warszawa pali jak wtedy.
znów jak wtedy walczy Miasto-Bohater..
Jak wtedy - w przeddzień ucieczki-
przed pięciu laty -

Ona jak wtedy, a my jacyż różni.
W jakich ranach. w jakich doświadczeń bliznach -
dalekiej drogi strudzeni podróźni
wróciliśmy do ojczyzny ...

Czy krew cała się w Wisłę wysączy?
Czy się karta obróci w księżde?
Kiedy się ta kwarantanna skończy
po pięcioletniej włóczędze?

Z sercem ciężkim od klęski.
z sercem od miłości przemienionym,
klęczymy, klęczymy u progu
wpatrzeni w dym i płomień -

Wrzesień 1944

Mieczysław Jastrun

RUINY KATEDRY ŚWIĘTEGO JANA

Gdy się po piętrach gruzów wspinam
Na szczyt Katedry obalonej,
Narodzin krzyk, nie śmierci dzwony
Z przepaści słyszę. Czy stworzenia
Nowy się dzisiaj dzień zaczyna?
Buduje z błysków warg, z milczenia,
Z kropel ulewy, co się zmienia
W burzę świetlistą - i godzina
Staje, wychodzi czas z obiegu,
Niebo pod nogi rzuca burza,
Kości zrastają się na nowo,
Z chaosu ziemia się wynurza
I słyhać chrzęst, stworzenia słowo,
Na tym kamiennym śmierci brzegu.

Jak gdyby się na nowo zrastał
Kościół Świętego Jana, grób,
Który dziś leży nam u stóp
W pustyni umarłego miasta.

Jak gdyby wspinał się i rósł,
Sklepienia łączył, spajał łuki
Ponad zwaliska, cegły, gruz,
Porozrywany dziś na sztuki,
Wstawał jak dzień z przepaści gróz.

Zniszczenia i tworzenia dzieło
W ten jeden dzień. jak w dźwięk, stopione,
Jak gdyby to, co dziś się wszczeło,
Na zawsze miało być złączone.
Jak gdyby po żelaza burzy
Miała przyjść burza serc karząca
I sprawiedliwa - tu gdzie żużel
I popiół także z ludzkich serc.
Dzień z jadowitych warg wysącza
Światło, przy którym blednie śmierć.

To już nie gruzy katedralne.
Płaczące skamieniałym psalmem,
Głazy wrzeszczące stromą śmierć,
Walące się w pożodze ściany,
Jak je w widzeniu obłąkanym
Ujrzał poeta - ale pieśń
Stworzenia, z ruin powstająca,
Kopuła z blasku i błękitu,
Odbudowana znów od szczytu,
Powietrze hymnem szturmująca.
Już pobojowisk niepamiętna -
Czytam ją z każdej nowej twarzy.
Poznaję w zgiełku godzin. w gwarze.
Żadna mi rzecz nie obojętna:
Ten wiatr. co gdy gałązką chwieje.
Jak dziecko. czy się roześmieje.
Czy gdy zapłacze - nie pamięta;
Ten błysk, co złoci liść klonowy.
Ta jesień, która nie zasmuca,
Choć drzewo od stóp drzewa zrzuca:
Ten kamień. który ma nadzieję.

I cóż, że w porę tak surową
Poetów opuszczają słowa,
Gdy słowo pierwsze mówią dzieje.

Wojciech Bąk

WARSZAWA O ZACHODZIE

Myślałem: miasto ruin. I ruiny są
I przychodzę przez gruzy ze zgrozy pobladły
I wiem: te zgliszczą święte są męczeńską krwią
W mieście, gdzie tylko mury - lecz nie dusze padły.

W Starym Mieście jak ciężko stopom deptać gruz,
Uświęcony cierpieniem i wiejący sławą!
Wiatr, który w oczy wieje zażawione kurz,
Sypie się w me źrenice bolesną Warszawą.. .

... Tutaj stos bomb na domy z mściwym rykiem
spadł

Tu płomień szarpał żywe ciało miasta w złości ...
I czuję każdą ranę, każdej bitwy ślad -
A to są wielkie rany, rozdarte do kości.

Patrzyłem w te płomienie, słyszałem ten huk,
Widziałem chmury dymu z domów wypalonych ...
I znam ten krwią zalany, udręczony bruk -
I wiem - to wielkie rany - to głębokie rany...

... Ale krew jest zwycięska! Słyszę bliski szum -
To Warszawa żyjąca tłumami wyrasta ...
Są groźne rany ruin, lecz ten głośny tłum -
To zdrowa krew gojąca bolesnego miasta.

Jakby gruzów nie było - wkoło krzyk i śmiech.
Jakby nędzy nie było - ten tłum jest zwycięski -
Toczy się ulicami miasta żywa krew!
Niepamiętna pożarów, obozów i klęski!

Ja znam tę krew radosną - znam jej nagły rytm.
I słyszę - to ta sama krew niezapomniana -
Niezmieniona klęskami i ciosami bitw-
Zalewa groźne gruzy Warszawy rozśmiana.

Warszawa wiecznych nadziei. wiecznych dumnych
snów.

Stolica w Polskę sławą wparta z lwim uporem -
I słyszę w kroku tłumów głuchy pomruk lwów
I oddechem lwim Wisła oddycha wieczorem ..

Nad miastem rudy zachód wszystkie blaski dnia
Skupił. w niebo płomieniem wysoko rozlany ..
... A ja nie widzę blasku, ale grzywę lwa -
To Warszawa lwia blaskiem ponad Polską trwa
I płonącym językiem liże ruin rany!

Julian Tuwim

AB URBE CONDITA

Zaraz nazajutrz. tj.:
Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc
Dziewięćset Czterdziestego Piątego,
Kiedy skwierczące miasto
Dogrywało jak ofiarna jałowica na religijnym stosie
I tymi drgawkami kończyn świadczyło o życiu.
Które było śmiercią,
I dyszało, konając, czadem spalenizny.
Jak sierść całopalnego zwierzęcia;
I kiedy po drabinach dymu
Już się w niebiosa wspinała Warszawa.
Aby dalekim prapokoleniom
Na wysokościach
Zaświecić kiedyś mitem astralnym,
Ognistą legendą,
A tutaj zostać wygasłym kraterem.
Kraterem wulkanu do dna wykrwawionym -

Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc
Dziewięćset Czterdziestego Piątego,
Na rogu Ruin i Kreśu,
Na rogu Gruzów i Śmierci,
Na rogu Zwalisk i Zgrozy,
Na rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskiej,
Co padły sobie w płonące objęcia.
Żegnając się na zawsze, całując płomiennie -

Zjawiła się pękata warszawska babina,
Nieśmiertelna paniusia z chusteczką na głowie
Postawiła, dnem do góry, skrzynkę
na ruinach.
Podparła ją meteorem; jakimś szczątkiem Miasta
I zawołała nieśmiertelnym tonem:

"Do chierbaty. do chierbaty,
Do świeżego ciasta!"

Nie widziałem jej. ale widzę:
Łzy się toczą
Z jej - mimo wszystko - uśmiechniętych oczu.
Mogła się zjawić Niobą - Żalobą
Furią wieszczącą, panią Hiobową.
Rachelą, dzieci swoje płaczącą -
I też by jej uwierzono.
Mogła przyfrunąć wiedźmą na mietle
Czy upiorzycą w krwawiącym świetle
Dnia zgłiszczowego -
I też by jej uwierzono.
Mogła - bajeczna Wielka Piotrzyca-
W patos jambiczny zestroić słowa.
Że nowy wstanie gród z rumowisk
"Na złość dufnemu sąsiadowi"-
I też by była prawdziwa ..

Mogła stanąć na skrzynce wzniosłym monumentem,
Upozować się pięknie i zadeklamować:
"Per me se va nella citta dolente" -
I nikt by się nie dziwił.
Ach, mogła wreszcie, Klio nie Klio,
Liwiusz w spódnicy,
Siąść na kamieniach wymarłej stolicy
I byle gwoździem na byle cegle

Wyskrobać tytuł:
"Od założenia miasta" - --

Ale ona - inaczej:
"Do chierbaty , do chierbaty
Do świeżego ciasta!"

Założycielko! Pionierko! Muzo! ---.
Dziś - stuk i łomot w całej Warszawie
Ku twojej sławie!
Dziś każdy murarz każdą nową cegłą
Pomnik twój wznosi!
I cała Polska - paniusiu! paniusiu! -
Wieczność twą głosi. (...)

Sława królowej w koronie ruin, --
Której na imię po prostu: Warszawa!

MAŁY JĘDREK STOI NA PRZEDPOLU

i pruje ze szmajsera. Na próżno Andrzej Morro krzyczy, by się wycofał razem z kapitanem. Teraz nie mogą tego zrobić, gdyż są odcięci ogniem przez Niemców, którzy zajęli część frontowego budynku. Niemcy znów rzucają granaty. Są zaledwie o parę metrów ode mnie. Dużo nerwów kosztuje taka walka, kiedy nieprzyjaciel jest o kilka metrów, Lepiej by już było dopuścić do starcia wręcz, Na pewno pokazalibyśmy wtedy Niemcom, co potrafimy. Tymczasem w dalszym ciągu zalewają nas lawiną ognia, a my siedzimy, czekamy i ginimy. Strzelanina trwa już blisko godzinę, a może i więcej. Sytuacja nie ulega zmianie po tym, jak Niemcom udało się dostać do frontowego budynku i umocnić się na gruzach zdobytego kościoła. Z budynku słychać kroki, krzyki, nawoływania. Wszystko wskazuje, że chcą stamtąd uderzyć, jeszcze raz okrążają nas z czterech stron ścianami ognia, Dolatuje nas złowrogi szczeł broni, jaki słyszeliśmy często na ulicach miasta. Teraz jest zupełnie taki sam. Te same głosy, ten sam krzyk, ten sam mundur, A może i ci sami Niemcy, którzy jeszcze przed miesiącem rozstrzeliwali bezbronych ... Po chwili nabieramy pewności, że szykują się do natarcia: trzeci raz w ciągu trzech godzin. Niemcy próbują - widocznie w myśl zasady "do trzech razy sztuka" - szczęścia. Za chwilę lawina ognia znów wali się na nas. Chłopcy z zaciśniętymi zębami trzymają peemy w dłoniach. Niemcy ruszają do szturmowania, lecz ogień naszych peemów nie pozwala im posunąć się ani kroku do przodu. Bez przerwy walą nasze erkaemy. Niemcy w odpowiedzi próbują zasypać nas deszczem granatów. Niemieckie erkaemy walą teraz po zajętych przez nas oknach. Odpowiadamy seriami na serie, Po godzinie bezskutecznych zmagani Niemcy wycofują się na swe pozycje wyjściowe, zostawiają kilku zabitych na przedpolu. Zrezygnowali już chyba na dzisiaj z dalszych prób. Bezskutecznie walczyli z nami przez cztery godziny. Są wściekli. Dobrze słychać ich podniesione głosy. Chłopcy rozprostowują się, zmęczeni czterogodzinnym huraganem ognia. Oczy zwracają się na przedpole ... Tam gdzie poległa dzisiaj większość plutonu. Tylko niedobitki bronią jeszcze ruin tego budynku. Reszta na przedpolu i na Kozłej w szpitalu. Zmierch ogarnia podwórze. Tylko czasami padnie jeszcze granat, rozszechka się krótką, urywaną serią erkaem. Przedpole ogarnia martwa cisza. Nie słychać już żadnych głosów, nikogo nie widać. Pod murem rozwalonej kotłowni leży Mały Jędretek. Jego pierś przeszzytą serią erkaemu pokrył ogromny skrzep krwi. Zwisa bezwładnie skrwawiona ręka. Nie zdążył napisać na murach kotłowni:
PRZECHODNIU, IDŹ, POWIEDZ WARSZAWIE ...

„Boruta”

Antoni Słonimski

MOGIŁA NIEZNANEGO MIESZKAŃCA WARSZAWY

Antyczni, nadzy i ogromni,
Zastygli w krzyk kamiennych warg,
Których na łukach tryumfalnych ark
Ustawią kiedyś w rząd potomni,
Bohaterowie wielkich dni,
Na tle chorągwi i barykad,
Antyczni, nadzy i ogromni,
O których co dzień komunikat
Podawał światu rapsod nowy,
O was historia nie zapomni
I narodowy rzuci pieśniarz
Ziarno męczeńskiej waszej krwi
I posiew cierpień,
I uniesień
Na nowy Sierpień,
Nowy Wrzesień,
Na nowych dni sześćdziesiąt trzy.

O was historia nie zapomni,
Lecz któż na grobach będzie siadał
Tych, którzy trwożni i bezdomni
Padali mrowiem niezliczonym,
Któż się o milion ten upomni?
I jaki pieśniarz będzie składał
Słowa gorące i szalone
O tych, co w cieniu waszej glorii,
Bez narkotyku wielkich czynów
Konali w męce dla wawrzynów,
Co wasze skronie ozdobiły,
Rzucając pomiot ciał swych zgniłych
W dymiący, krwawy gnój historii?

Dla was pieśń moja i łzy moje,
Zwyczajni, prości, nieogromni.
Kiedy na zgliszcza wróci życie,
Na narodowy święty grób,
Gdy kości będą zbierać z szańca,
Aby z nich dźwignąć pomnik sławy,
Niech na cmentarnej będzie płycie
Ten napis prosty, napis 'krwawy':
Tu leży Trup
Niezanego Mieszkańca
Warszawy.

Kazimierz Wierzyński

POWSTANIEC

Długie lata mówiło się u nas: "powstaniec",
Czyli wolność i walka, pólshępy i troski,
Warszawa podchorążych, rogatki i szaniec,
Małogoszcz, gdzie się rąbał z Moskałem Czachowski.

Gdy tylko drogi w słotnej rozmokły jesieni
A ptak gdzieś w nocy krzyknął, słuch Polak otwierał -
Wiedzieliśmy z dzieciństwa: zapuka ktoś w sieni
I wejdzie nieznajomy z obrazu Grottgera.

Ballada czy testament, cokolwiek to było,
.Jak przeraźliwie dzisiaj odgrzebać te leża,
Gdzie stary proch butwieje pod leśną mogiłą
I młoda kość odpada spod hełmu żołnierza .

.Jak trudno - ach, daremnie - tłumaczyć to komu
Skąd matki w nas tę siłę przeniosły bezwiedną,
By, gdy już wszystkie drogi nam zamkną do domu,
Nie przestać dalej szukać i wejść jeszcze jedną.

Osaczonym, co przeszli pół ziemi swą stopą,
Dziś nam znów się zwoływać i szukać gdzie szaniec:
Śród głuchej puszczy świata, zdradziecką Europą
Chodzić Polsce, jak lasem jej chodził powstaniec

Wisława Szymborska

W BIAŁY DZIEŃ

Do pensjonatu w górach jeździłby,
na obiad do jadalni schodziłby,
na cztery świerki z gałęzi na gałąź,
nie otrząsając z nich świeżego śniegu,
zza stolika pod oknem patrzyłby.

Z bródką przyciętą w szpic,
łysawy, siwiejący, w okularach,
o pogrubiałych i znużonych rysach twarzy,
z brodawką na policzku i fałdzistym czołem,
jakby anielski marmur oblepiła glina -
a kiedy to się stało, sam nie wiedziałby,
bo przecież nie gwałtownie, ale pomalutku
zwyżkuje cena za to, że się nie umarło wcześniej,
i również on tę cenę płaciłby.

O chrząstce ucha, ledwie draśniętej pociskiem
- gdy głowa uchyliła się w ostatniej chwili -
"cholerne miałem szczęście" mawiałby.

Czekając, aż podadzą rosół z makaronem,
dziennik z bieżącą datą czytałby,
wielkie tytuły, ogłoszenia drobne,
albo bębnił palcami po białym obrusie,
a miałby już od dawna używane dłonie
o spierzchłej skórze i wypukłych żyłach.

Czasami ktoś od progu wołałby:
"panie Baczyński, telefon do pana" -
i nic dziwnego w tym nie byłoby,
że to on i że wstaje, obciążając sweter
i bez pośpiechu rusza w stronę drzwi.

Rozmów na widok ten nie przerywano by,
w pół gestu i w pół tchu nie zastygano by,
bo zwykle to zdarzenie - a szkoda, a szkoda -
jako zwykle zdarzenie traktowano by.

Ernest Bryl

SIERPIEŃ

Warszawo moja, wpół miejska, wpół wsiowa,
Pełna nas, cośmy hurmem z prowincji zjechali,
Cośmy się niby przez gruz przegryzali.
Warszawo moja - bezkształtna, surowa

Ani taka, ni siaka. Ciężka jak zakalec,

Miasto, gdzie się dzielnica z dzielnicą rozmija,
Jak dwa okręty nie wiedzące wcale,

Że płyną obok siebie po morzu okrutnym,
Które usypia czasem, a czasem zabija ...

o miasto, moje miasto z twoim świętem smutnym,
Kiedy to w wielkiej ciszy się uczymy,

Jak się jednoczysz z nami, jak nas zespalasz
Twardziej niżli na kamień ...

Kiedy to patrzymy,
Jako się pierwsza świeczka w Powązkach zapala,

A potem światło za światłem liczymy
Powoli, dokumentnie - żeby się naumieć,
Jak żyć w tym mieście rosnącym na trumnie.

Czesław Miłosz

TRAKTAT POETYCKI

III DUCH DZIEJÓW (FRAGMENTY)

(...)

Gdzie wiatr zawiewa dymem z krematorium
I dzwoni w wioskach dzwon na Anioł Pański,
Przechadza się Duch Dziejów, poświstuje.
Lubi te kraje obmyte potopem,
Bezkształtne odtąd i odtąd gotowe.
Mile mu błyska w opłotkach spódnica
Ta sama w Polsce, w Indiach i Arabii.

Już go zobaczył i poznał poeta,
Gorszego boga, któremu poddany
I czas, i losy jednodniowych królestw.
Twarz jego wielka jak dziesięć księżyców,
Na szyi łańcuch z nieobeschłych głów.
Kto go nie uzna, dotknięty pałeczką,
Bełkotać zacznie i utraci rozum
Kto mu się skłoni, będzie tylko sługą.
Gardzić nim będzie jego nowy pan.

Lutnie i gaje, i wieńce laurowe!
Damy, księżęta z mitrą, gdzie jesteście!
Was można było ucieszyć pochlebstwem,
Zręcznie w podskoku złapać worek złota.
On żąda więcej. Żąda krwi i ciała.

Kim jesteś, Możny? Długie są te noce.
Czy znamy ciebie jako Ducha Ziemi,
Który z jabłoni strząsa gąsienice,
Ażeby łatwiej karmiły się kosy?
Który gromadzi nogi martwych żuków
Na pulchną ściółkę, co wyda hiacynt?

Czy ty i on to jedno, Tępicielu?
On, nieodstępny, on, wierny towarzysz,
Ileż to razy prowadził nam rękę
Po gładkich plecach i szyi dziewczyny,
Kiedy w lipcowym zmierzchu schodzą pary
W zapachu sosen łąką nad jezioro
I gra harmonia melodię niebyłą
O kwiatach cytryn, o wyspie kochanków,
Aż, utraconą, przypomnieć nam straszno.
Ileż to razy, on, piękno i chwała,
Przepych i krzyki miłosne cietrzewi,
Ironią umiał wykrzywiać nam usta,

Szepcząc do ucha, że kolory wiosny,
Trele słowika i nasze natchnienie

Są tylko jego rozrzutną przynętą,
Żeby spełniało się prawo gatunku;
Że krew ostygnie i rdzą porażeni,
Ubrani w płaszcze z gnijącej purpury,
Spadać będziemy w proch sprzed lat miliona,
Gdzie czeka pradziad nasz, *Pithecanthropus*.

Czy ty, co nosisz rozsądny frak Hegla
I lubisz dzikie, wiatrom dane strony,
Przybrałeś sobie tylko nowe imię?

(...)

W zielonej torbie tajne biuletyny.
Poeta słyszy jego śmiech potężny:
- Ja im za karę odebrałem rozum.
Nikt nie powstanie przeciw mojej woli.
Jakim wyrazem sięgnąć w to, co będzie,
Jakim wyrazem bronić szczęścia ludzi
- Ono ma zapach ziarnistego chleba -
Jeżeli nie zna poetycka mowa
Miar, jakie późnym potomkom przypadły?
Nas nie uczono. My wcale nie wiemy,
Jak w jedno złączyć Wolność i Konieczność.

Dwa ostre brzegi we śnie zwiedza umysł.
Zguba nieziemskich, zguba promienistych,
Niebo szturmując, materią wzgardzili.
W niej ciepło, radość i zwierzęca siła.
Zguba rozważnych, zguba ociężałych.
Gwiazdę zaranną kłamstwami ogłuszą,
Dar, bardziej trwały niż śmierć i natura.

W zielonej torbie tajne biuletyny.
Propagandowy kruszy się poemat.
Dźwięczy fałszywie, bo jest niżej wiedzy.
Za wiele czuje, więc milknie poezja.
Jeszcze dalekie wezwania powtarza,
Do uniesienia treści niegotowa.

(...)

Dwudziestoletni poeci Warszawy
Nie chcieli wiedzieć, że Coś w tym stuleciu
Myślom ulega, nie Dawidom z procą.
Byli jak człowiek na szpitalnej sali,
Który śmiech dzieci i zabawy ptaków

Stara się pojąć raz tylko, ostatni,
Zanim nie zamkną się kamienne wrota,
I na przymierza z jutrem obojętny
Dba tylko o to, jak być wiernym chwili.
Nie ozdabiały starej barykady
Zorze ludzkości, wieszczów obietnice.
Zraniona mieczem stała Matka Boska
Nad żółtym polem i wiankiem poległych.

W zdumieniu młodzi rano dotykali
Stołu i krzesła, jakby w deszcz ulewny
Znaleźli cały, okrągły dmuchawiec.
Przedmioty dla nich łamały się w tęczę,
Mgliste jak lata wcześniej pożegnane.
Zapowiedź sławy, pokoju, mądrości
Własną litanią musieli odtrącić.

Ich wiersze były modlitwą o męstwo:
"Z życia, jak z miasta, kiedy nas wysiedlą,
Domie nasz złoty, w pościel z malachitu
Na jedną tylko noc nas wieczną przyjm."
I żaden grecki antyczny bohater
Do bitwy nie szedł tak zbyty nadziei
Z wyobrażeniem swojej białej czaszki
Kopniętej butem obcego przechodnia.

Kopernik, posąg Niemca czy Polaka?
Składając przed nim kwiaty, padł Bojarski.
Czysta, bez celu, winna być ofiara.
Trzebiński, nowy jakiś polski Nietzsche,
Nim umarł, usta miał zagipsowane,
Mur i powolne chmury zapamiętał,
Sekundę patrząc czarnymi oczyma.
Baczyński stuknął czołem o karabin.
Dalej gołębie płoszyło Powstanie.
Gajcy, Stroiński, byli podniesieni
W czerwone niebo na tarczy eksplozji.

Na gęsich piórach maczanych w inkaucie
Jeszcze pod lipą światło dzienne drżało.
W księgach to samo rządziło prawidło
Poczęte z wiary, że piękność widzialna
Jest małym lustrem dla piękności bytu.

Polami wtedy żywi uciekali
Od samych siebie, wiedząc, że wiek minie,
Zanim powrócą. Przed nimi ruchome
Piaski, na których drzewo się zamienia
W nic, w antydrzewo, gdzie żadna granica
Kształtu i kształtu nie dzieli, a w gromach

Zapada się dom złoty, słowo JEST,
I STAJE SIĘ sprawuje odtąd władzę.

Każdy z nich dźwigał do końca dni swoich
Pamięć tchórzostwa, bo umrzeć bez celu
Nie chciał, a zwątpił, bo nie chciał umierać.
I On, czekany, z dawna odgadniony,
Dymił nad nimi tysiącem kadzielnic.
Po grząskich ścieżkach pełzli mu do nóg.